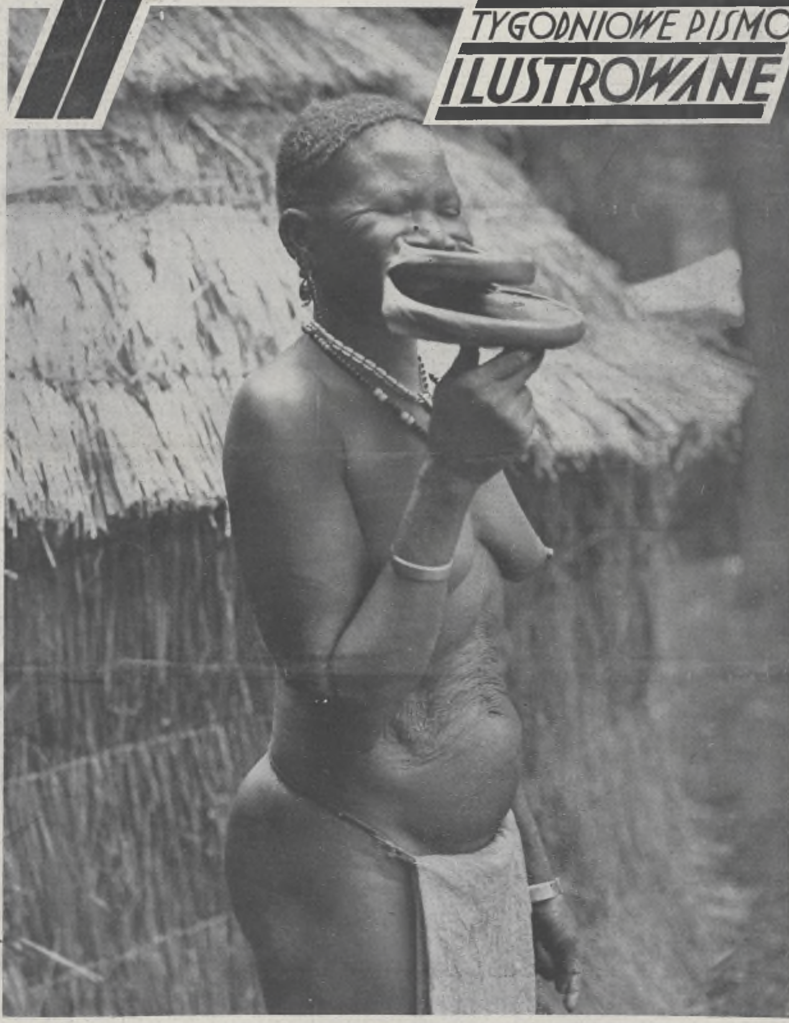
ROK I. Nr 22. 23 czerwca 1929 r.

7 DNI

CENA 50 GR

Rejentalnie stwierdzony nakład: 30.000 egzemplarzy.

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



Moda wybierania najpiękniejszych kobiet dotarła w głąb czarnego lądu. Oto urocza „Miss Botokudja" przybyła do Paryża na podbój Europy (fot. Wide World, do artykułu na str. 14).

WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI

Kolega ministra

Kolega szkolny Kowalskiego został ministrem. Przez rok w drugiej klasie siedzieli obok siebie na jednej ławie i pewnego razu Kowalski strasznie ministra obił. Był to zresztą jedyny tryumf w jego życiu. Potem spotykały go już same porażki, począwszy od egzaminów do trzeciej klasy, na których się obciął i dał się przyszłemu ministrowi wyprzedzić.

Wiadomość o nominacji zirytowała Kowalskiego.

— Ładnych ludzi wyciągają — mruknął z przekąsem, wzruszając ramionami.

Od czasu jednorocznego koleżeństwa w drugiej klasie nie utrzymywał już z kolegą stosunków i wkrótce stracił go zupełnie z oczu, ale zostało mu wrażenie, które przetrwało lata, że był to chłopczyk tępy, nieinteligentny i w dodatku w najwyższym stopniu nieuczynny. O to właśnie się pobili, że nie chciał podpowiadać.

Kowalskiemu nie powiodło się w życiu. Szkół nie skończył i obijał się po prywatnych posadkach, jako skromny urzędnik. Miał nieznośną żonę i troje chorowitych dzieci. Wieczna walka z nędzą męczyła go i postarzała przedwcześnie. A minister świetnie wyglądał. Niktby mu nie dał na oko więcej niż trzydzieści kilka lat. Wszystkie pisma zamieszczały, ma się rozumieć jego fotografję i Kowalski ze złością przyglądał się energicznej i zdrowej twarzy, w której mimo zmian, spowodowanych przez lata, doskonale rozpoznawał dawnego kolegę.

— Takie bydlę zostało ministrem. Teraz dopiero nabucha się pieniędzy — powtarzał machinalnie raz-po-raz i wzbierała w nim coraz większa, głucha nienawiść do ministra. W domu, przy obiedzie, zaczął nagle z nerwowem podnieceniem opowiadać, jak go kiedyś obił.

— Tak w pysk odemnie dostał, że aż mu krew z nosa poszła!

Dzieci patrzyły na ojca zdumione, szeroko otwartemi oczami, ale u żony wspomnienie tego bohaterskiego czynu nie znalazło uznania.

— Ty we wszystkiem miałeś szczęście — odparła zgryźliwie. — Napewno ci to pamięta.

— Więc cóż z tego.

— To, że inny człowiek, jakby miał kolegę ministra, to napewno potrafiłby z tego skorzystać. A my zgnijemy w nędzy.

— Takiego durnia o nic bym nie prosił — odparł wyniośle Kowalski.

— On by cię za drzwi wyrzucił, gdybyś przyszedł go prosić. I skąd w tobie wzięła się taka fantazja do bicia. Przecież, jako dziecko musiałeś być takim samym niedołęgą, jak teraz. Zresztą — dodała Kowalska po chwili — ja w to wszystko nie wierzę.

— Możesz wierzyć, możesz nie wierzyć, a w pysk odemnie dostał — roześmiał się hałaśliwie Kowalski.

Dzieci wierzyły ojcu. Ośmioletni Kazio zapytał z przejęciem:

— I bardzo mu krew z nosa płynęła?

— Bardzo.

Szczegół o krwi był skłamany, ale Kowalskiemu nie wypadało go już prostować.

— Tobie, jeżeli to prawda, wartoby nos przetrącić — wybuchnęła znów żona. — Popsuć sobie taką znajomość!

— Przecież tatuś w drugiej klasie nie mógł wiedzieć, że tamten zostanie ministrem — wzięła ojca w obronę Józia.

— Ale tatuś zawsze był głupi.

— Mogłabyś przy dzieciach nie robić awantur, mruknął Kowalski. Umilkł i nie odzywał się już do końca obiadu. Ogarnął go głuchy bunt przeciwko życiu. Dlaczego jednym się wiedzie, a innym nie. Cóż od był gorszego od takiego ministra. Zaczął robić w myśli rachunek, wszystkich niezależnych od jego woli niepowodzeń życiowych, wygrzebywał je z pamięci z sadystyczną rozkoszą i wciąż stwierdzał, że od dzieciństwa prześladowało go nieszczęście. Doprowadziło go to do takiego zdenerwowania, że kiedy po obiedzie wyciągnął się na kanapie na zwykłą drzemkę, nawet pięciu minut nie mógł uleżeć. Do fizycznego bólu drażnił go upał, smrody i hałasy płynące z podwórza, miał ochotę głośno krzyczeć. Około piątej musiał wyjść z domu. Chciał złapać w kawiarni jednego ze znajomych, żeby go prosić o pożyczkę pieniędzy. Na drugi dzień wypadał mu termin weksla i brakowało mu pięćdziesiąt złotych. W znajomym z kawiarni pokładał ostatnią nadzieję. Był to właściciel kamienicy poczciwy i dobroduszny człowiek, który zazwyczaj nie odmawiał mu pożyczek. Ale nieszczęście chciało, że nie siedział sam. Kowalski musiał wyczekać odpowiedniej chwili. Zaczął opowiadać sensację, która go nurtowała o koledze ministrze.

— Ano bardzo dobrze — odparł kamienicznik. Może się pan do niego zgłosić, kto wie, czy co dla pana nie zrobi. Do kolegów szkolnych ludzie zawsze mają sentyment.

Kowalski aż poczerwieniał. Tak nienawidził ministra, iż samo przypuszczenie, że mógłby się z prośbą o cokolwiek do niego zwrócić, wydało mu się najstraszliwszem upokorzeniem. Do takiego łajdaka, któremu się tak powiodło w życiu! Nie. Gdyby nawet z głodu zginąć — nie! Roześmiał się hałaśliwie.

— On by mi nic nie zrobił.

— Dlaczego?

— Bo dostał odemnie po pysku.

— Od pana?

W poczciwych oczach kamienicznika zamigotał figlarny uśmiech. Tak zabawne wydało mu się widocznie, że Kowalski mógł dać komuś po pysku. Kowalskiego doprowadziło to do furji. Więc wszyscy będą go uważali za popychadło i niedołęgę.

— Dostał — powtórzy wyzywająco.

— Kiedy?

— Jakieśmy byli w szkołach, w drugiej klasie.

Kamienicznik i siedzący z nim starszy jegomość zaczęli się głośno śmiać.

— Z czego się panowie śmieją? — wycedził Kowalski czując że mu się robi ciemno w oczach.

— Może pan w szkołach był taki wojowniczy — odparł wesoło kamienicznik, teraz napewno nikogo by pan nie obił.

— Nie obił bym?

— Nie wygląda pan na to.

Kowalski zerwał się z krzesła, z całej siły uderzył kamienicznika w twarz i z dzikim wrzaskiem zaczął tłuc szklanki, rozstawione na stole.

Co słychać na świecie?

Konspekt nasz zaczniemy w numerze obecnym od Chin, o których wspominaliśmy dotychczas jedynie sporadycznie. Obecnie sytuacja zmieniła się. Depesze doniosły, iż Rosja wtargnęła na terytorjum Chin i to w sposób zgoła dotychczas niepraktykowany, bo bez wypowiedzenia wojny, bez wręczenia ultimatum. O podobnych sposobach wiemy jedynie z dawnych opowiadań o zagonach korsarskich, lub legend z czasów Dżyngischana. Uważany więc, że skoro terror bolszewicki przekroczył już granice „istinnej" Rosji, należy uważnie śledzić przebieg wypadków i... wyciągać z tego naukę na przyszłość. Aby jednak wypadki te zrozumieć, musimy poinformować się — bodaj ogólnie — o sytuacji panującej obecnie w Chinach, i to tem więcej, iż przeciętny Europejczyk mało zdaje sobie z tego sprawy.

Zasadniczo więc rządzi w Chinach Partja Narodowa, założona przed 20 laty przez Dr. Sun-Jat-Sena. Partja ta oparta jest o kupiectwo, oraz sfery bankiersko-przemysłowe i po jej stronie działa generał Czang-Kaj-Szek. Nie jest ona jednakowoż skonsolidowana i napotyka na silną opozycję ze strony lewicy, reprezentowanej przez inteligencję młodo-chińską i włościan.

Podczas gdy partja narodowa ma silne wpływy w północnej i zachodniej połaci kraju, to natomiast lewica rządzi niejako w prowincjach południowych, z przedstawicielem generałem Feng-Ju-Siang.

Generał ten posiada 100 tysięczną, znakomicie zorganizowaną i udyscyplinowaną armję, wyraźnie przeciwstawia się zarządzeniom rządu nankińskiego, a nawet są ponoć dowody na to, że pozostaje na żołdzie bolszewickim.

Niewiadomo jak ustosunkuje się on do wkraczających wojsk rosyjskich. Gdyby jednak odniósł się przychylnie do bandyckiego napadu rosyjskiego, to sprawy w Chinach mogłyby wziąć obrót bardzo dla Europy nieprzyjemny i można nawet obawiać się przewrotu bolszewickiego w Chinach.

POLSKA. Możemy z radością zanotować fakt zaprzestania strajku młodzieży akademickiej w związku ze sprawą „ekscesów" antyreligijnych we Lwowie. Nie można przytem pominąć milczeniem niezmiernie charakterystycznego, poraz pierwszy w historji polskiej notowanego faktu: oto Żydzi zagraniczni nadesłali w tych dniach podziękowanie do Rządu Polskiego za bezstronne wyświetlenie tej delikatnej sprawy. Z drugiej strony jednak należałoby przyznać rację pewnym osobistościom, które zaognienie się stosunków pomiędzy ludnością a Żydami przypisują akcji syonistycznej, dążącej wprost do wywołania dysonansu i separatyzmu Żydów na terenie Polski. Tutaj może im za przykład służyć Anglja, gdzie niema „kwestji żydowskiej" jedynie dlatego, iż Żydzi zlali się tam w zupełności z narodem i uważają się par excellence za Anglików. Ostatnio opinją publiczną wstrząsnął niedawny wypadek poranienia dwóch oficerów 36-go pułku piechoty przez niejakiego Wójcika, oficera rezerwy. Sprawa ta, dotychczas osłonięta tajemnicą ma mieć związek z świeżem jeszcze nieporozumieniem zaszłem pomiędzy 36-tym pułkiem a pewnym odłamem młodzieży akademickiej.

Ja...el.



Dnia 16 czerwca wylądowała na lotnisku wojskowem w Warszawie eskadra lotnicza rumuńska. Zdjęcie przedstawia gen. Gorskyego, dowódcę eskadry, szefa rumuńskiego departamentu lotnictwa, płk. Rayskiego i attaché rumuńskiego płk. Nicolaescu.



W niedzielę dnia 16 czerwca o godz. 10 rano rozpoczął się w Warszawie międzynarodowy raid automobilowy, zorganizowany przez Automobilklub Polski. Na fotografji naszej widzimy maszyny raidowe na Placu Marszałka Piłsudskiego przed wyruszeniem.



Profesor Mesnil z Instytutu Pasteura w Paryżu dokonał ostatnio ważnych odkryć w dziedzinie serotherapji.



Arcyksiężniczka szwedzka Ingrid, domniemana przyszła małżonka ks. Walji, bawi obecnie w Anglji



General Booth, założyciel i b. wódz „Armji Zbawienia", złożony z tego urzędu, zmarł tydzień temu.



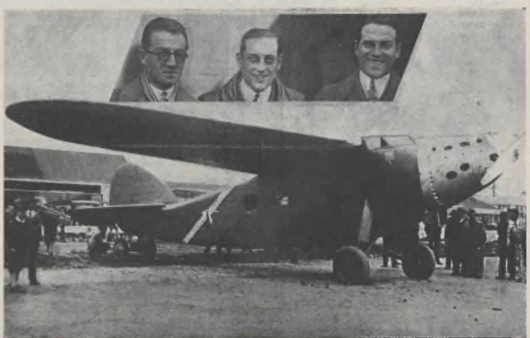
Liesl Goldarbeiter, obrana w Galvestone (St. Zjedn. Ameryki P.) „Miss Universum" na rok 1929.



Sydney Franklin, cow-boy amerykański, wsławił się jako świetny i zwycięski toreador na arenach hiszpańskich.



Osada Warsz. Kl. Wioślarek, która dn. 15-go b. m odniosła zwycięstwo w regatach wewnętrznych (Fot. Walter)



Zwycięski samolot „Żółty Ptak", oraz trzej nieustraszeni lotnicy francuscy, Assolant, Lefevre i Lotti, którzy odbyli na nim lot z Ameryki do Europy lądując na wybrzeżu Hiszpanji. (Wide World Photos).



Morel i Lamy obok wozów Essex, które zajęły bezapelacyjnie I miejsce w najw. imprezie automobilowej Francji „Tour de France".

Jeden dzień w Riond Bosson



Pałacyk pp. Paderewskich w Riond Bosson, widziany od strony parku.

Piętnaście minut trwa jazda autem z Lozanny do Morges, małego schludnego miasteczka położonego w Kantonie Vaud. Droga, jak wszystkie główne szosy szwajcarskie, lśni się asfaltem, co chwila mijają nas wytworne limuzyny lub pur sang sportowe kabriolety. Na surowe przepisy policyjne, normujące szybkość na szosach, jakoś turyści nie bardzo zwracają uwagę, a gładka powierzchnia jezdni prowokuje wprost, aby ją jak najprędzej pochłonąć.

Od czasu do czasu z lewej strony szosy ukazuje się cudowna tafla jeziora Genewskiego, obramowana groźnemi masywami granitów Alp Sabaudzkich. Z prawej strony ciągnie się malownicze pasmo Jura.

Przejechawszy Grande rue, główną ulicę Morges, wjeżdżamy znowu na szosę genewską, z której po chwili skręcamy na boczną drogę do górskiej wioski Tolochenaz. Przejeżdżamy pod wiaduktem kolejowym i oto już ukazują się przed naszemi oczami wyniosłe drzewa parku Riond Bosson, siedziby Ignacego Jana Paderewskiego.

Auto zatacza szerokie półkole i zatrzymuje się przed wytworną willą - pałacykiem, który przed trzydziestu pięciu laty nabył Prezydent Paderewski od hr. Lemarrois.

Dom państwa Paderewskich — to muzeum, o którego zwiedzenie dobijają się najwybitniejsi cudzoziemcy, to świątynia najdroższych sercu każdego polaka pamiątek, to przepiękne ramy, w które zamknięto nieskończony szereg związanych z historją naszej walki o niepodległość doniosłych faktów i poczynań.

Riond Bosson, to pierwsza ambasada na zachodzie Europy „Tej co nie zginęła" to kolebka komitetu Vevejskiego, to miejsce narad, zjazdów wszystkich najwybitniejszych polaków ubiegłych trzech dziesiątków lat, to Mekka i Medyna wszystkich Polaków, którzy znajdowali tu zawsze rady, wskazówki i staropolską gościnność.

Wielka księga podpisów, znajdująca się w salonie, zawiera ich kilkanaście tysięcy. Są między niemi podpisy panujących, członków rodzin królewskich, przedstawicieli najprzedniejszej arystokracji, najwybitniejszych polityków i maluczkich, którzy śpieszyli złożyć hołd wielkiemu człowiekowi i wielkiemu Obywatelowi uciemiężonej przez zaborców Ojczyzny.



Mistrz Ignacy Paderewski podczas zasłużonego odpoczynku w swoim ogrodzie.

Z wielkiem wzruszeniem przekraczamy progi domu Paderewskiego i znajdujemy się w imponującym hallu, otoczonym galerją, wiodącą do prywatnych apartamentów państwa Paderewskich.

Hall w Riond Bosson poświęcony jest sztuce chińskiej, której Prezydent Paderewski jest wybitnym znawcą i namiętnym zbieraczem. W dwuch wielkich oszklonych szafach mieszczą się dziesiątki przepięknych okazów cloisoné, inkrustacji w emalji z XVI, XVII i XVIII stulecia, kolekcja jedna z najpiękniejszych w Europie. Dół szaf przeznaczony jest na kolekcję porcelany — waz i amfor o przedziwnych kształtach, na ozdobienie których kunsztownem malowidłem nieznany artysta nie wahał się nieraz znaczną część swego życia poświęcić. Umeblowanie hallu, utrzymane w stylu pierwszego cesarstwa nadaje całości charakter spokojnego wykwintu i prostoty.

Cały parter pałacyku zajmują pokoje reprezentacyjne: salon, sala jadalna, gabinet, będący jednocześnie muzeum szelkich pamiątek. Zresztą niezliczonej ich ilości niepodobna pomieścić w jednej sali, to też porozmieszczane są w całym domu.

Pierwsze piętro — to prywatne apartamenty państwa Paderewskich i gabinet do pracy Prezydenta.

Na drugiem piętrze mieszczą się pokoje gościnne, na trzeciem pokoje służby, w suterenach kuchnia i słynna piwnica win.

Salon w Riond Bosson zasługuje na dłuższe omówienie. Wprost drzwi wejściowych stoją dwa koncertowe fortepiany. Nakrywają je dwie przepiękne jedwabne makaty, bogato złotem haftowane, a na nich stoją fotografje z autografami znakomitych przyjaciół Prezydenta Paderewskiego: królowa Wiktorja, włoska królowa Matka, król Albert i królowa belgijska, fotografje trzech ostatnich papieży, prezydent Wilson, prezydent Rocca, prezydent Roosevelt, ex król Manuel, Maharadża Navanagar, Marszałek Foch, jenerał Pershing..., że wymienimy tylko te, które nam się w oczy rzuciły. Na specjalne wymienienie zasługuje napis na fotografji ofiarowanej Prezydentowi przez króla Belgów: „Au liberateur de la Pologne et a l'incomparable artiste — Albert" (Oswobodzicielowi Polski i niezrównanemu artyście — Albert, przyp. red.).

Ściany salonu zdobią płótna mistrzów, a wśród nich słynne portrety Paderewskiego pendzla Almy Tademy i rysunek Burne - Jones'a oraz portret pani Paderewskiej przez Siemiradzkiego. W Riond Bosson spotykamy na każdym kroku dzieła naszych mistrzów, a więc Siemiradzki, Kossakowie Juljan i Wojciech, Rosen, Malczewski. Jeden tryptyk Malczewskiego, wiszący w sali jadalnej zwraca powszechną uwagę, jako genjalna wizja artysty.

Środek tryptyku przedstawia Jezusa Chrystusa na Syberji, siedzącego za stołem, błogosławiącego i łamiącego chleb. Boczne obrazy przedstawiają postacie Polaka i Rosjanina w żołnierskich szynelach (obraz nosi datę 1909 r.). Twarz Polaka jest niezmiernie charakterystyczna, bije z niej spokój i wiara w lepszą przyszłość, twarz Rosjanina natomiast pełna rezygnacji i melancholji jest prawie portretem ostatniego cara Rosji, Mikołaja.

Gabinet, jak już wspomnieliśmy, jest prawdziwem muzeum. Dwie wielkie gabloty są szczelnie zapełnione darami, które od niezliczonych swych wielbicieli otrzymał mistrz Paderewski. Przedmioty ze złota i srebra, szkatułki, papierośnice, kubki, medale, wianki i t. p. znajdują się tu w ilości wprost imponującej.

Ściany gabinetu od góry do dołu zawieszone są dyplomami uniwersytetów, które ofiarowały Paderewskiemu swe doktoraty h. c., dyplomami towarzystw naukowych, klubów, związków muzycznych z całego świata. Po rogach stoją rzeźby i posągi. Ażeby módz wszystkim tutaj nagromadzonym skarbom poświęcić należną uwagę trzebaby je rozmieścić przynajmniej, w trzech wielkich salach, a ze wszystkich zbiorów, znajdujących się w Riond Bosson możnaby utworzyć już dziś poważne muzeum potęgi ducha Wielkiego Człowieka, przed którym schyliła czoło cała ludzkość.



Pani Helena Paderewska w swoim gabinecie opracowuje dalszą podróż artystyczną swego małżonka.



Fragment salonu. Na fortepianie fotografje królowej Wiktorji oraz królowej i króla Belgów.

Na środku gabinetu, stoi skromny empirowy stolik do kart. Prezydent Paderewski jest zapalonym bridge'ystą i po ciężkiej całodziennej pracy lubi w gronie swoich najbliższych zagrać trzy robry. W Riond Bosson gra się bardzo tanio, ale za to ile wtedy śmiechu z niefortunnych „wyjść" lub lekkomyślnej licytacji partnerów.

Z gabinetu, salonu i sali jadalnej wielkie szklane drzwi prowadzą na wspaniały marmurowy taras, którego kamienną balustradę obejmują z wdziekiem ramiona przepysznej glicynji. Taras jest w pełni swego wiosennego kwiatu i całe powietrze przepełnione jest jej słodką subtelną wonią.

Taras dominuje nad starym parkiem, który u stóp jego łagodnym spadkiem chyli się ku jezioru Genewskiemu.

Przed tarasem kwietnik, nieskończona ilość róż sztamowych, a dalej perspektywa strzyżonych trawników z przepięknemi grupami drzew liściastych i iglastych, wszystko u dołu samego obramowane poważną aleją starych dębów.



Wschód księżyca nad uroczym Lemanem koło Riond Bosson.

Prezydent Paderewski kocha swoje drzewa. Zna z nich każde, o każdem z nich ma coś ciekawego do powiedzenia.

Zatrzymujemy się w parku przed wyniosłą grupę kilku sosen o pniach półmetrowej grubości.

— Te już zupełnie jak nasze—mówi ze smutnym uśmiechem Paderewski... — A ile tego u nas wyniszczono — dodaje po chwili. I widać, że myślą biegnie do tego dalekiego, a tak ukochanego kraju, któremu życie całe służy wiernie, któremu nie zawahał się wszystkiego złożyć w ofierze.

Mimowoli na myśl przychodzi jasna twarz rycerskiego króla, który ofiarował swą przyjaźń oswobodzicielowi ojczyzny, a ten Wielki Obywatel zdala od swego dzieła z chmurą na czole myśli o swym narodzie...

Lata wielkiej wojny... Park w Riond Bosson dziś cichy i spokojny, rozbrzmiewał gwarem. Czterdzieści kilka osób, które wojna zastała w Szwajcarji znalazły gościnę w domu państwa Paderewskich. Pani Wilkońska, siostra Prezydenta Paderewskiego, cudów dokazywała, aby tym odciętym od kraju, którzy z ufnością schronili się w gościnne progi, zapewnić wszystko niezbędne. A nie było to łatwe. Banki wstrzymały wypłatę rachunków z Ameryką, gdzie przebywali Państwo Paderewscy, komunikacja była bardzo trudna, żyło się prawie z dnia na dzień. Część parku zaorano. Sadzono kartofle, siano pszenicę, pastwą padły słynne rasowe kury pani Paderewskiej, ale przetrwano.

Przez cztery lata sześćdziesiąt osób siadało do stołu i nikt się nie skarżył na głód. Dzieci chodziły do szkół, a starsi gwarzyli i chciwie czytywali gazety.

Wszystko to przeszło, ale w dziejach Riond Bosson jedna jeszcze karta niezmordowanej służby dla Ojczyzny została chlubnie zapisana.

Wzorowy ogród owocowy i warzywny jest miejscem stałych wycieczek dla organizacji szwajcarskich. Prowadzony przez wybitnego fachowca, artystę w swoim zawodzie p. Stefana Doleżala, jest ostatnim wyrazem sztuki ogrodniczej. Drzewa owocowe formowane w płaskie szpalery tworzą malownicze aleje. Między niemi barwią się przepyszne krzewy róż. Na każdym kroku znać wielkie umiłowanie tej pracy, która znajduje szczodrą nagrodę w świetnych wynikach. Wszystkie wystawy owoców, które się tu co rok odbywają, rejestruje p. Doleżal wymownemi dokumentami — złotemi medalami i najwyższemi odznaczeniami.

Prawdziwie imponuje olbrzymia potrójna szklarnia na winogrona. Już z początkiem września winogrona w szklarni dojrzewają i trwają do Bożego Narodzenia. Ogromne czarne i żółte grona dwukilowej wagi słynne są na całą okolicę. Dziesiątki drewnianych skrzyneczek rozsyła się do różnych zakątków Szwajcarji, a w okresie Zgromadzenia Ligi Narodów przyjaciele Prez. Paderewskiego, którzy zjeżdżają do Genewy z różnych zakątków świata, niejednokrotnie z radością otrzymują przesyłkę z Riond Bosson.

Z tarasu przed domem Państwa Paderewskich jest największy może widok na najwyższy szczyt Alp, najwyższą górę Europy — Mont Blanc. Wielki masyw granitowy, szczelnie pokryty śniegiem i lodowcami, mieni się przepyszną purpurą w promieniach zachodzącego słońca.

Już wieczór. Po drugiej stronie jeziora, w Francuskiej Sabaudji, migocą światełka Evian i Thonon, dwuch znanych miejscowości kąpielowych. Na lewo widać coraz jaskrawszą łunę świateł Lozanny. Czas wracać.

— Kiedy Pan Prezydent przyjedzie do Polski? ryzykujemy pytanie.

Głęboka bruzda w dobrze sobie znanem miejscu zachmurzyła wyniosłe czoło Prezydenta Paderewskiego.

— W każdym razie nie w tym roku, brzmi mało zachęcająca odpowiedź.

— W takim razie na odsłonięcie pomnika Wilsona w Poznaniu?...

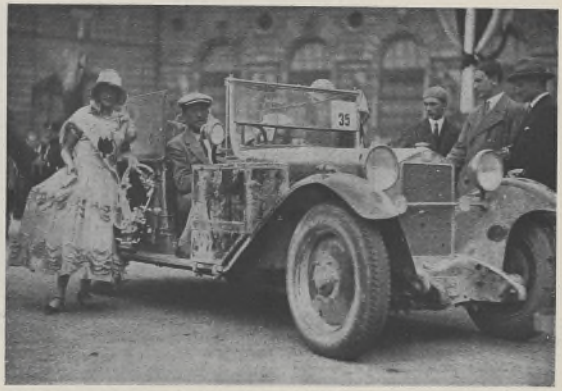




NOWA SEKTA NIEMIECKA.

Przed kilkoma laty pewien berlińczyk, nazwiskiem Weissenberg zwierzył się w kółku najbliższych znajomych, iż Bóg mu się objawił w otoczeniu archanioła Gabrjela i ducha... Bismarcka oraz słynnego lotnika niemieckiego, von Richthofena. Pochopni do organizowania się przy każdej okazji, Niemcy stworzyli sektę, na czele której stanął Weissenberg, głosząc swą naukę i zjednując coraz to nowe zastępy wyznawców. Jak widzimy na naszych ilustracjach „mądry starzec" — Weinssenberg, którego w innym kraju z pewnością zamknęliby w zakładzie dla obłąkanych lub w kryminale, cieszy się ogromnem poważaniem. „Niemiecki bóg", z którym b. cesarz żył w doskonałej komitywie, znalazł sobie godnego ambasadora na ziemi...

Wiedeński zjazd gwiaździsty



Inż. Hoff zdobył pierwszą nagrodę w wiedeńskim zjeździe gwiaździstym, przybywając na samochodzie Steyr z Lisbony.

Niedziela. Południe. Przed dworcem w Gdańsku stoi nowiutka lśniąca maszyna. Jest to Steyr typ 20, pierwszy samochód tego typu, sprowadzony do Polski. Dziś ma on przed sobą trudne zadanie — ma jednym tchem przebyć przestrzeń zgórą 900 kilometrów dzielącą Gdańsk od Wiednia, by stanąć tam w poniedziałek pomiędzy drugą a siódmą popołudniu.

Przy kierownicy zasiada inżynier G. Zangl, pozostałe miejsca w samochodzie zajmują pani Zanglowa, mechanik i ja. Pierwszą czynnością jest zameldowanie startu z Gdańska. Niestety, Gdański Automobilklub, uprzedzony zawczasu o godzinie startu, okazał się zamknięty na trzy spusty. Meldujemy się wobec tego w dyrekcji policji i na kwadrans przed trzecią opuszczamy Gdańsk, mknąc w kierunku Tczewa.

Piękna słoneczna pogoda, doskonale ciągnąca maszyna, malowniczy krajobraz pomorski roztaczający się dokoła, — wszystko to sprzyja doskonałym humorom, które zresztą, mimo radykalnej zmiany warunków atmosferycznych, nie opuściły nas aż do samego Wiednia.

Gniew, Nowe, Grudziądz i Bydgoszcz mijamy nie zatrzymując się i o zupełnym mroku stajemy w Poznaniu. Samochód dostaje świeży zapas benzyny, my pośpiesznie posilamy się i meldujemy się w Wielkopolskim Automobilklubie. Przed nami Poznań opuściły trzy maszyny idące na zjazd gwiaździsty do Wiednia: dr. Żółtowski z Poznania, jakiś niemiec z Królewca i łotewski minister skarbu Magnus z Rygi.

Etap drogi od Poznania do Rawicza był ciężką próbą zarówno dla kierowcy jak i dla maszyny. W strugach ulewnego deszczu mimo silnego światła reflektorów trudno było widzieć drogę na dużej przestrzeni, zaś sam stan szosy miejscami bardzo wiele pozostawiał do życzenia. Mimo to już o północy dotarliśmy do Rawicza. Tutaj oczekiwała na nas niespodzianka: granica jest zamknięta od siódmej wieczór aż do szóstej rano. Perspektywa wyczekiwania do szóstej i dyskwalifikacji za opóźnienie do Wiednia dodała nam energji. Dzięki życzliwemu stanowisku policji w Rawiczu obudziliśmy również życzliwego celnika na granicy i po załatwieniu wszelkich formalności minęliśmy szlaban polski. Budzenie urzędników paszportowych i celnych po niemieckiej stronie zabrało nam tak dużo czasu, że już o szarym świcie ruszyliśmy w dalszą drogę.

Na dobrych drogach niemieckich, zupełnie pustych o tej porze. Zangl rozpoczął nadrabiać czas, utracony na granicy. Po zaledwie kilkuminutowym postoju we Wrocławiu pojechaliśmy w kierunku Glatzu, ku granicy czeskiej. Po nieprzespanej nocy, w nieustającym deszczu, nie mogliśmy należycie ocenić piękna Sudetów, przez które prowadziła kręta droga. Jedynie sam Zangl nie dawał zupełnie poznać po sobie zmęczenia. Prowadził po mistrzowsku maszynę po trudnych zakrętach, mimo bardzo wilgotnego stanu szosy osiągając przeciętną szybkość 65 klm. na godzinę.

Na czeskiej stronie przez dwie godziny tłukliśmy się po rozmaitych wertepach, zapoznając się ze wszystkiemi roskoszami bocznych dróg poczęwszy od połamanych mostów i zagadkowych drogowskazów, kończąc na flegmatycznych krowich zaprzęgach, bardzo niechętnie ustępujących z drogi.

Dopiero od Ołomuńca mieliśmy do Wiednia wielką, państwową drogę. Niestety, w większej swej części droga ta znajdowała się w stanie reperacji, my zaś musieliśmy zdążać do celu okrężnemi drogami.

Tutaj jednakże coraz częściej rozpoczęliśmy spotykać na drodze samochody z błękitnemi chorągiewkami, oznaką udziału w zjeździe gwiaździstym. Ciekawe było spotkanie z silną sześciocylindrową Tatrą z Krakowa, która musiała zostać w tyle za Zanglem, który z niepospolitym temperamentem prowadził swego Steyera, szybkie tempo jazdy utrzymując nawet na ostrych zakrętach.

Nad granicą austrjacką koło Mikułowa przywitał nas transparent, rozpięty nad szosą: „Wilkommen". Austrjaccy urzędnicy szybko załatwili formalności i w kwadrans po drugiej popołudniu zakurzona maszyna mijała szpaler młodocianych harcerzy, którzy witali nas przy wjeździe do Hofburg w Wiedniu.

Samo tło przyjęcia wystarczyłoby już, by wynagrodzić nas za trud całonocnej i całodziennej jazdy. Przed gmachem dumnego pałacu cesarskiego zgromadzili się przedstawiciele nietylko Automobilklubu, lecz i władz rządowych. Każdy przybywający był witany z uprzedzającą życzliwością i serdecznością.

Jedna po drugiej wtaczały się na podwórzec pałacowy zdrożone maszyny. Ta przyszła ze słonecznej Lizbony, druga z mglistego Londynu, inna znów z zimnego Stokholmu. W jednym dniu, w umówionej godzinie zbiegły się tutaj benzynowe rumaki z najodleglejszych zakątków Europy, by zadokumentować, że międzynarodowa rodzina wyznawców samochodu jest nietylko bardzo liczna, ale i niezwykle solidarna.

A że w każdej rodzinie są jednostki wyróżnione, nazajutrz automobilklub Austrji podzielił nagrody pomiędzy najbardziej zasłużonych. Pierwsza nagroda przypadła w udziale inżynierowi Hoffowi, który na Steyerze startował aż z Lisbony i przebył 3.200 kilometrów. Drugą i trzecią nagrody otrzymały również Steyery idące z Lisbony i Bercelony. Na tem sukces Steyerów nie skończył się — w liczbie pierwszych dziesięciu okazało się sześciu uczestników zjazdu na Steyerach.

Inż. Zangl startując z Gdańska nie mógł zdobyć tak znacznej liczby punktów, miarodajne czynniki wszakże oceniły należycie jego wyczyn i przyznały mu specjalną nagrodę za największą ilość kilometrów, przebytych bez wypoczynku.

Następne dni pobytu w Wiedniu, pełne najrozmaitszych rozrywek i wielce interesujących imprez samochodowych sprawiły to, że każdy z uczestników tegorocznego zjazdu nie omieszka i w przyszłych latach skorzystać z zaproszenia Austrjackiego Automobilklubu.

Zaś ci, co poraz pierwszy wybiorą się do tego pięknego miasta — nie pożałują tego z pewnością.

Niezwykłe zainteresowanie wywołała wśród automobilistów próba regularności na przestrzeni 330 kilometrów Wiedeń — Steyr — Wiedeń. Uczestnicy konkurencji musieli na całej przestrzeni utrzymać przeciętną szybkość 45 klm. na godz. przyczem najwyższe dopuszczalne odchylenie na tajnych punktach kontrolnych sięgało zaledwie 20 sekund.

Pierwszą nagrodę w postaci sześciocylindrowego Steyera otrzymał Böckl z Wiednia, pozostali zaś uczestnicy musieli poprzestać na pomniejszych nagrodach i zwiedzeniu doskonale zorganizowanych zakładów samochodowych Steyera.

I. Kołłupajło.



Inż. Gotfryd Zangl, pani Zanglowa i redaktor I. Kołłupajło na mecie pod pomnikiem ks. Eugenjusza.

Nowa komedja polityczna B. Shawa

PREMJERA „WIELKIEGO KRAMU" W TEATRZE POLSKIM W WARSZAWIE.

W przededniu tradycyjnego „sezonu ogórkowego" teatralna Warszawa przeżyła sensację nielada. Rzec można — sensację w czwartej potędze. Bo, po pierwsze, każda nowa sztuka przesławnego autora „Świętej Joanny" jest już sensacją sama w sobie; po wtóre wystawienie „Wielkiego Kramu" w Warszawie przed Londynem i innemi stolicami europejskiemi jest dowodem wielkiego szacunku, jakim cieszy się — i zasłużenie! — „Teatr Polski" na zachodzie; po trzecie premjera tej arcy-ciekawej komedji politycznej zbiegła się z powrotem do władzy w Anglji „Partji Pracy", której Shaw jest zapalonym zwolennikiem, acz ją w swej sztuce bezlitośnie chłoszcze — po czwarte wreszcie, ostremi cięciami nieubłaganego skalpelu docierając do rdzenia zagadnień istoty demokracji, rozszerzenia lub ograniczenia władzy królewskiej i t. d. — „Wielki Kram" i w naszym kraju mieni się żywemi kolorami aktualności... Sam Shaw zresztą, przyznając stolicy Polski pierwszeństwo wystawienia swej najnowszej komedji, oświadczył korespondentowi jednego z dzienników wiedeńskich: *„nie mogę oprzeć się uczuciu, że właśnie atmosfera polska będzie najlepiej sprzyjała wystawieniu tej sztuki".*

„Wielki Kram" — to jedna z najmniej scenicznych sztuk Shawa — dzieło człowieka, który ma serce nie w piersi, lecz w mózgu. Przykuwa jednak uwagę widza (raczej w tym wypadku: słuchacza) od pierwszej sceny do ostatniej, nawet w pierwszym siedemdziesięciopięciominutowym (!) akcie nie nużąc go ani przez chwilę. A przecież, zdawałoby się, że akt ten jest zupełnie pozbawiony wszelkiej akcji — ot, członkowie rządu radykalnego zebrali się u króla, aby przedstawić mu swe ultimatum: albo król zrzeknie się strzępów władzy, które mu konstytucja jeszcze zostawić raczyła — albo gabinet poda się do dymisji, oskarżając monarchę o dążenia absolutyczne. Przez pełno siedemdziesiąt i pięć minut ośmiu ministrów, z królem Magnusem pośrodku, siedzi przed nami w wyciągniętym w prostą linję rzędzie foteli — to jeden, to drugi zabiera głos, król replikuje, poczem wychodzi i — kurtyna zapada... wśród długo niemilknących oklasków. Bo brak akcji z e w n ę t r z n e j Shaw wynagradza sowicie spotęgowaniem w e w n ę t r z n e j. Cały akt pierwszy — to jeden wielki djalektyczny pojedynek dwuch potęg: świadomej celów i środków władzy — i wrzaskliwej, nieprzebierającej w środkach demagogji, stawiającej dobro partji ponad dobro ogółu. Każde słowo, każde zdanie, to pchnięcie szpady lub świst rózgi. Każda z osób działających posiada swe indywidualne, pełne ostrej plastyki oblicze, z którego z przedziwną pasją Shaw zdziera maskę obłudy.

„Wielki Kram" — to namiętny, dosadny i błyskotliwy akt oskarżenia przeciw krzykaczom, którzy zostali politykami „bo ich nie stać na nic lepszego", przeciw fałszywym demokratom, których poufne hasło brzmi: „demokracja potrzebuje nędzy", przeciw szumnym frazesom demokratycznym, za któremi ukrywa się często postać... płatnego agenta „Lewjatana".

Tym kukłom i maszkarom przeciwstawia Shaw wolę, giętki umysł, oświecony mózg, czyste ręce i dobre maniery króla, który dzielnie walczy o swe prawo do mrugania okiem podczas odczytywania mów tronowych, redagowanych przez premjera, który nie chce być „niemym królem" ani też „gumową pieczątką" w rękach cynicznych prowodyrów partyjnych, żerujących na państwowym folwarku. Jakże specjalnego posmaku nabiera „Wielki Kram" wobec świeżych oświadczeń Mac Donalda, który wypowiada w nich swą wiarę w demokrację, przewidując jej zachwianie się jedynie w wypadku „niemożności pokojowego współżycia zachodu ze wschodem"...

Pysznym komentarzem do ostatniej komedji Shaw'a jest również wyczerpujący wywiad amerykański Archibalda Hendersona, któremu wielki pisarz oświadczył między innemi:

„Świat cały występuje dziś przeciw demokracji. Mają jej dosyć, bo demokracja prowadzi jedynie do wypływania na powierzchnię bęcwałów i ludzi niekulturalnych. Polityk dzisiejszy — to agent demokracji, torujący sobie samemu drogę przez wyzyskiwanie nieświadomości szerokich mas".

I jeszcze:

„Demokracja w praktyce — to rujnujący nonsens".

Interesujące również są ostatnie paradoksalne ideały Shaw'a. Żąda więc przedewszystkiem zaprowadzenia przymusu pracy — ograniczając ją zresztą do czterech godzin dziennie, przyczem domaga się absolutnego zrównania wszystkich zarobków. *„Społeczeństwo należy doprowadzić do takiego poziomu, aby każdy mężczyzna mógł się ożenić*



Karykatura angielska Bernarda Shawa.

z każdą kobietą" — t. j. aby czynnik materjalny przy wyborze małżonka nie grał żadnej roli. Twierdząc, że dziś wszyscy ludzie są czemś w rodzaju zmechanizowanych „robotów", nawołuje Shaw do dążenia do... „Państwa Lenistwa" *(Leisure State)*, które jedynie będzie zdolne wyzwolić wszelką indywidualność. *„Lenistwo jest czynnikiem rozwoju sił twórczych".*

Shaw jest ponoć socjalistą — co nie przeszkadza mu jednak być bystrym obserwatorem, śmiało wypowiadającym swe zdanie. Już w swej dawniejszej komedji p. t. *„Major Barbara"* wprowadził na scenę, jako istotnego dobrodzieja robotników typowego nowobogackiego... właściciela fabryki armat! Zaś w najnowszej swej komedji wyraźnie opowiada się po stronie wybitnej i utalentowanej jednostki, skrępowanej przez więzy demokracji.

Dużo tu można złożyć na karb przysłowiowej paradoksalności jego wielkiego talentu — lecz przedewszystkiem uderzyć nas musi ta sympatja, jaką obdarza w osobie króla — przedewszystkiem człowieka, jego prawość, intelekt i zdolności. Bo mimo całą swą przynależność do „Labour Party", mimo całą pozorną oschłość, wyrażającą się przedewszystkiem w stosunku do kobiety, mimo całą napastliwość i burzycielskość swego temperamentu — Shaw jest przedewszystkiem wielkim artystą i wielkim Człowiekiem, któremu nie są obce ani tęsknota do bohaterstwa ani kult szlachetności, czemu dał najwspanialszy wyraz w swej „Świętej Joannie".

Aktualność „Wielkiego Kramu" — to przypadek. Stwierdzając to, oddajemy sprawiedliwość twórczym zamierzeniom jego autora, które z pewnością nie szły w kierunku taniej jednodniowej sensacji.

Premjera „Wielkiego Kramu" — zarówno od strony sceny, jak i widowni — wypadła nader uroczyście. Zaszczycili ją swą obecnością P. Prezydent Rzeczypospolitej, minister oświaty, członkowie poselstw angielskiego i amerykańskiego, sztab korespondentów pism zagranicznych, oraz kwiat sztuki i towarzystwa. Natomiast komunikaty teatralne, wzywające publiczność do przybycia w strojach wieczorowych, przeszły prawie bez echa... Czyżbyśmy mieli tu do czynienia z manifestacją demokracji, tak bezlitośnie przez Shaw'a w komedji tej wychłostanej?...

Teatr Polski wystawił znakomite dzieło Shaw'a z pietyzmem, do którego na tej świetnej scenie polskiej oddawna jesteśmy przyzwyczajeni. Nad wszystkiem jednak dominowała postać króla Magnusa, w iście mistrzowskiej interpretacji Junoszy-Stępowskiego. Rolę tę znakomity artysta zaliczyć może do najlepszych ze swego bogatego repertuaru.

Pełen niefałszowanego majestatu królewskiego (akt I i II) i majestatu duszy ludzkiej, grandseigneur w każdem słowie i każdym geście, swobodny i naturalny, jakby całe pokolenia ukoronowanych głów miał za sobą, prowadził djalog i całą sztukę, jak mickiewiczowski podkomorzy poloneza. W inteligentnych i wrażliwych dłoniach artysty wszystkie błyskotliwe skarby aforystyczne, jakiemi tak obficie Shaw przyozdobił swą komedję, zalśniły pełnym blaskiem, jak najdrogocenniejsze żywe klejnoty. Nawet w arcytrudnym akcie drugim, zbudowanym na wręcz odmiennej płaszczyźnie, umiał mistrzowskim umiarem ocalić kreowaną przez siebie postać od śmieszności. Nic też dziwnego, że rozentuzjazmowana publiczność nie oszczędziła mu gorących oklasków.

Trudną rolę Oryntji, ambitnej faworyty królewskiej, marzącej o koronie, z właściwym sobie artyzmem odegrała p. Przybyłko-Potocka. Świetną w każdym calu królową była pełna naturalnej dystynkcji p. Sulima. P. Samborski rolę ultra-radykalnego ministra przemysłu i handlu postawił na granicy szarży, bardzo jednak być może, że zgodnie z inicjami autora, a w każdym razie z korzyścią doskonale bawiącej się widowni. Pełne charakteru były pp. Kunina i Modrzewska, wybornym adwersarzem króla p. Buszyński, a pp. Fritsche, Krzewiński, Małkowski i Szubert stworzyli pyszną i żywą galerję demagogicznych pasożytów ministerjalnych. P. Dominiak natomiast nieco przejaskrawił swą rolę ambasadora amerykańskiego.

Na podkreślenie zasługuje wnikliwa reżyserja p.Borowskiego.

Reasumując — „Teatr Polski" w pełni odpowiedział zaufaniu, jakiem obdarzył go najznakomitszy komedjopisarz angielski doby obecnej, dając mu pierwszeństwo przed innemi scenami europejskiemi. Sukces ten jest nie bez znaczenia i dla naszej propagandy zagranicznej, dobrze świadcząc o naszej kulturze teatralnej. Dowodem tego jest m. in. źle maskowana zawistna irytacja poniektórych naszych sąsiadów zachodnich...

J. P.

Mój mały, własny domek...



A gdy cała rodzina siedzi w lesie przed domkiem, radość nasza jest bezgraniczna... (Foto Paramount).

Ile radości i szczęścia mieści się w tem jednem, krótkiem zdaniu: mój mały, własny domek.

Jakież niewysławione nadzieje i marzenia ziszczają się w jego cienkich, drewnianych ściankach.

Już daleko poza mną są te smutne chwile, gdy mój mały, własny domek był tylko moim najmilszym snem...

Bywało czasem, gdy leżąc na łóżku, w obcem domu, ja, obcy człowiek, zawsze niemile widziany, jako zawada, często nienawidzony, a w najlepszym razie tolerowany, jako zło konieczne, bywało czasem, gdy umęczony całodzienną pracą, oddawałem się zadumie i marzeniom — jedną myślą, jaka mnie wówczas nawiedzała, jednem pragnieniem mego serca było — mieć swój własny, mały domek. I marzył mi się, nie pałac marmurowy, z podjazdem, z garażami, ze stylowemi meblami, nie apartament w drapaczu chmur, z windami, sygnalizacją elektryczną i łazienkami z karraryjskiego kamienia, a mały, drewniany domek w lesie, tuż obok strumienia, zawsze pełnego zimnej wody...

Dziś spełniły się moje marzenia.

Mój mały, własny domek stoi w cichym lesie, daleko od szerokiej drogi. Sam go sobie wybudowałem. W znoju i w radości.

Szczęściem napełniało się moje serce na widok, jak z wilgotnej , wiosennym zapachem przesiąkniętej ziemi, wyrastał mój domek: mały i śliczny, jak dziecko, które stawia pierwsze, pocieszne kroki... Rósł powoli, a serce moje drżało lękiem, jak człowiek smutny, gdy nieoczekiwanie nawiedzi go szczęście.

Razu pewnego...

To było na wiosnę. Uciekłem z szumnego miasta do ciszy leśnej. Wałęsałem się po borze, jak błędny, jak człowiek, co chowa w sercu straszną tajemnicę...

Moją tajemnicą był: mały, własny domek. I gdy, siedząc na pniu ściętej sosny, skąpany w ciszy w wiosennym chłodzie, gdy zdawało się, że ziemia dookoła cicho jęczy rozsadzana nowem życiem, ja niewolniczo oddawałem się smutkowi i rezygnacji, nawiedziła mnie dziwna myśl...: „wartoby jeszcze trochę pożyć, aby przekonać się, co będzie dalej?..."

Od tego dnia minęło rok.

I dziś każdemu napotkanemu znajomemu opowiadam jedną i tę samą historję. Opowiedziałem ją już stokrotnie, a będę ją, zdaje się, opowiadał jeszcze długo... Nie uprzykrzy mi się, bo to historja mego małego, własnego domku...

„Przyjacielu! Życie jest piękne i żyć warto! Poświęć mi trochę czasu i posłuchaj.

...tedy to zakasałem rękawy i zabrałem się do pracy. Sprzedałem wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. Przez całą wiosnę pracowałem wdwójnasób, aby zarobić więcej, niż zwykle. Odmawiałem sobie wszystkiego, co nie było ostateczną koniecznością. Zbierałem grosz do grosza i na początku lata miałem dość zasobów, by kupić kawałek ziemi.

A było to owej wiosny, gdy postanowiłem przekonać się „co będzie dalej?..."

Gdy już miałem kawałek ziemi, trzeba było pomyśleć o właściwym domku. Wiedziałem, że samemu nie dam rady, nie podołam. Trzeba było zwrócić się do kogoś o pomoc. Ale do kogo? Oczywiście, do właściwego przyjaciela. A tym właściwym przyjacielem była... dziewczyna!Znasz ją? Mar, nazywa się i jest jak topola. Ma duże, czarne i mądre oczy. I serce ma! Gorące serce, wezbrane pierwszą, najczystszą miłością, miłością dziecka i kobiety zarazem! Serce prawdziwie kochające! Jej też zwierzyłem się z moich najtajniejszych marzeń.

„Chcesz ze mną razem budować mały, własny domek?"

Spojrzała na mnie dużemi, jak migdały skośnemi oczami, oczami pełnemi szczęśliwości i... nic nie odpiowiedziała.

Zrozumiałem!

Zabraliśmy się wspólnie do pracy! Podczas gdy ja ciosałem belki, heblowałem deski, ona śpiewała. Śpiewała tak rzewnie, tak słodko, jakby w pieśni swej zamknąć chciała cały ogrom ludzkiego szczęścia... Gdy ja, w znoju i pocieczoła dźwigałem kamienie i żelazo, ona opowiadała mi bajki o sercu, i delikatnemi, podłużnemi rękami pomagała mi w cężkej pracy.

I tak urastał nasz dom powoli, jak owoc wytrwałej pracy.

Czasem, gdy stawała gotowa jedna ze ścian, Mar przerywała pracę, siadała na stosie belek i desek i w wielkiem zamyśleniu mówiła: „Gdy patrzę tak na wyrastający z ziemi nasz mały, własny domek, mam wrażenie, jak gdyby w nim rozpoczynało się życie, zupełnie, jak w człowieku, w żyłach którego płynie krew. Złudzenie to jest we mnie tak silne, że chwilami natężam słuch, czy serce naszego domku już bije?..."

Taką była Mar! I tak wyrastał mój mały, własny domek!

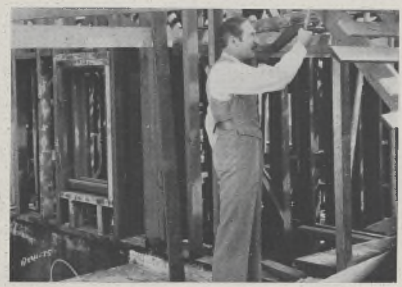
Dziś stoi już cały, otoczony gęstwiną szumiących drzew, w dzień lśniący w blaskach słońca, w nocy, jakby zamyślony w odpoczynku.

W dzień roznosi się dookoła dźwięczny śmiech Mar — żony mojej, wieczorem oświetlone okna figlarnie mrugają, zachęcając do wejścia. A dookoła roznosi się woń kwiatów, drzew i zieleni.

Cudowny jest mój mały, własny domek. Przyjedź, proszę, kiedyś! Bardzo będziemy radzi! Zobaczysz, jaki cudowny! I psy mamy i...

Przyjedź, a zobaczysz!"

Mieczysław Szczęsny.



Zakasałem rękawy i zabrałem się do pracy. Dzień po dniu, deska po desce wyrastał z ziemi mój mały, własny domek. (Fot. Paramount).



Złudzenie to jest we mnie tak silne, że chwilami natężam słuch, czy serce naszego domku już bije?... (Fot. Paramount).

Kaprysy mody

Historja przemilcza nazwisko autora popularnego przysłowia francuskiego: „il faut souffrir pour être beau" (znieś wszelki ból, byleby być pięknym). To też nie wiemy, czy powiedzenie to podyktowane mu zostało wskutek doświadczenia o obyczajach mieszkańców krajów cywilizowanych, w których niejedno poświęcenie znosi się z niebywałym stoicyzmem, byleby zachować (lub wywołać) niezbędne warunki fizyczne, odpowiadające kaprysom mody, — czy też ów autor był podróżnikiem odwiedzającym dalekie lądy.

Mówiąc o pięknych paniach — boć do nich przedewszystkiem odnoszą się niniejsze refleksje — wiemy doskonale, iż życie swe nawet gotowe narazić dla wybryku mody, który każe naprzykład posiadać wysmukłą figurę wszystkim, bezapelacyjnie, choćby się miało naturalne wdzięki o żywej wadze 100 kilo i wyżej... Trudno. Piękna pani nie je, piękna pani codziennie ćwiczy, wijąc się, gdyby w konwulsjach po podłodze, sypia na twardej pryczy, karmi się lekarstwami, próbuje masażu, parafiny, wszelkich mąk piekielnych — byleby schudnąć, byleby osiągnąć ideał „sveltesse".

O piękna pani, czy wiesz jednak, iż siostry twe z pod zwrotnika, czarujące kolorowe „ladies" z Timbuktu, lub z wysp Tonga - Tonga, gotowe są na największe poświęcenia, które żadnemu augurowi mody z Paryża nie przyszły jeszcze do głowy. Może z czasem, kiedy się ziści marzenie amerykańskich „coloured men" i powstanie potężne czarne imperjum, barbarzyńcy z rue de la Paix będą wzorować się na pomysłach, zrodzonych pod upalnem słońcem afrykańskiem. A wówczas, o piękna pani, wówczas dopiero zdasz egzamin, od którego nie wybawią cię żadne prawa, mozolnie zdobywane przez siostrzyce-feministki. Trudno... Powtórzysz co rano „il faut souffrir"... westchniesz żałośnie i mężnie się poddasz.

Pozwoliliśmy sobie — gwoli ostrzeżenia — zestawić parę ilustracyj, godnych czarnego „Życia Wytwornego", z których piękne nasze panie przekonają się łatwo, że mówiąc o modach timbunktańskich bynajmniej nie przesadziliśmy.

Tak jest — o piękna pani — czarne twe siostrzyce potrafią nawet zniekształcać się okrutnie, wydłużać lub zwężać czaszkę, buzie swe urabiać „à la pelikan".

Ze wszystkich tych tortur, największą jest chyba zniekszałcanie ust, do którego kobieta z Congo zaprawia się od dzieciństwa, rozciągając wargi na drewnianych deszczułkach, coraz większych rozmiarów. Po paru latach wreszcie osiąga szczyt marzeń — posiada wreszcie dziób, jak najpiękniejszy pelikan „Perfect beauty"...

Pomyśleć tylko, jak pięknego dziobu możnaby się dochować przy pomocy współczesnej techniki!...

Pomyśleć tylko... i umrzeć ze strachu!

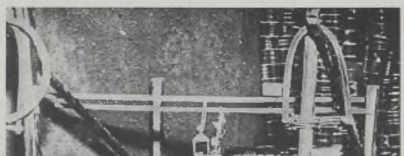
R



Czarna „lady" z czaszką zwężoną uciskiem metalowej obręczy, którą założono jej w dziecinnych latach, wdzięcznie dłubie w ząbkach.



Piękna pani z dziobem, nosi z przyrodzonym wdziękiem uroczysty strój świąteczny. Niepodobna może zakochać się od pierwszego wejrzenia. Wszystko zależy od przyzwyczajenia.



Wytrawny augur mody nie powierza wykonania strojów byle robotnicy, lecz sam zasiada do warsztatu, na którym wyrabia wzorzyste „une pièce" dla pięknych swych klijentek.

BRUNO WINAWER

Pomysły złe i dobre

Opowiadano nam zwykle straszne historje o dziwacznych manjach artystycznych. Redaktor tygodnika literackiego narzekał, że z nadejściem cieplejszej pory roku cała prawie ludność kraju rymuje gaj z majem, do słowa wiosna dodaje radosna, do słonka dorabia skowronka i w listach tudzież na pocztówkach zawiadania ogół o pewnych prostych faktach: znów pachną *ziółka* i wróciła *jaskółka*. Po wprowadzeniu rymów nowoczesnych ilość liryków wolnopraktykujących zwiększyła się jeszcze, bo dziś dla stworzenia poematu można skojarzyć śmiało w dwóch—trzech wierszach takie np. zdania: pięknie na łące strumyk *szemrze* i ja siedzę *tamże*, na *czemże?*

Muzycy skarżyli się na domorosłych śpiewaków i pianistów, którzy im podobno życie zatruwają. Malarze głosem nabrzmiałym łzami mówili o pacykujących starszych ciotkach i packających młodszych kuzynkach. Rzeźbiarze ze zgrozą wspominali pewne artystycznie odrobione kijki, wycinane kwiatki, rozetki i gliniane główki. Aktorzy — za dawnych dobrych czasów — zżymali się na samą myśl o prowincjonalnym „czarnym szalu" albo o sepleniącej Eleonorze Duse, która czarowała wdziękiem i talentem deklamatorskim spoconych letników w Urlach. Dziś mają kłopot i „urwanie głowy" z zezującym lekko Rudolfem Valentino i zanadto przysadkowatą Gretą Garbo.

Któregoś lata odwiedziłem w cichej wiosce rybackiej pod Oliwą mego znajomego. Mieszkał w bardzo oryginalnej chałupie. Pierwszy pokój zawieszony bohomazami, które wyglądały jak „gabinet nieszczęść ludzkich" i kolekcja potworności w „operze za 3 grosze". Dalej — sypialnia i kuchenka. Jeden z poczciwych obywateli tej osady zapisał gminie swój dom pod warunkiem, że zachowa i przekaże potomności dzieła jego pędzla. Gmina przyjęła ten dar, mój przyjaciel wynajął wolny pokój w dziwacznem muzeum...

— Czuję się nieźle — mówił — ale plastycy stracili we mnie odbiorcę. Nigdy w życiu do galerji obrazów nie pójdę. Koniec!

Przypuszczam, że gabinet okropności istnieje i dziś jeszcze, o ile go wichry północne nie zmiotły.

Feljetony z zakresu „Bocznej Anteny" sprawiły, że od pewnego czasu zgłaszają się do mnie wynalazcy. Otóż... Sztuka nie jest dziedziną uprzywilejowaną. Nauka i technika mogłyby się pochwalić co najmniej równą ilością sepleniących Romeów i wiejskich Rembrandtów z pod Oliwy.

Razu pewnego przyszedł do mnie człowiek dorosły, usiadł na skromnem krzesełku i oznajmił krótko:

— Znalazłem sposób na „gaszenie wulkanów". Nalewamy, proszę pana do krateru ługu — syk, trzask, wulkan gaśnie... Prosta reakcja chemiczna.

— Ale my nie mamy wulkanów w kraju— powiadam.

— To też ja chciałbym sprzedać swój wynalazek Anglji. Żądam niewiele. Sto, dwieście tysięcy funtów.

— Czy pan ma wykształcenie specjalne?

— Właściwie... Ukończyłem tylko całkowity kurs nauki chodzenia po ulicach. Ale cośniecoś z chemji pamiętam. Mam przyjaciela w składzie aptecznym.

Pewien rodak nasz, obywatel z Mokotowa, chce zaprząc groźny ocean do pracy pożytecznej. Umieszcza w tym celu na wzburzonych falach jakiś pływak — pas, transmisję, kółko zębate i już. W czasie przypływu kółko obraca się w prawo, w czasie odpływu — również. Można oddechem oceanów pędzić motorek elektryczny, można też tanim kosztem zapalić lampkę żarową.

— Robił pan jakie próby, doświadczenia? — pytam.

— Nigdy nie byłem nad morzem. Ale mam w domu bardzo dużą miskę. Otóż któregoś dnia...

Mieszkaniec miasta Łodzi załatwia sprawę przez korespondencję. „Zauważyłem — pisze — że rura, która prowadzi od pieca do komina, jest zazwyczaj okrągła. Gdyby ją spłaszczyć, miałaby większą powierzchnię i zyskalibyśmy trochę ciepła. Prócz tego zauważyłem również, że suma cyfr nieparzystych... Czy nie można obu tych pomysłów opatentować?"

Łodzianin chce zarezerwować dla siebie pewne własności arytmetyczne, malarz w długim memorjale uzasadnia nową teorję geolo-



Nasza ekipa szpadowa w Budapeszcie, która zwyciężyła Węgrów w stosunku 10 : 6. Po str. lewej por. Szempliński z numerem „7 DNI", jedynego pisma polskiego, które jest kolportowane w Budapeszcie. (Fot. Pobuda).

giczną. „Ziemia — powiada — w długich wędrówkach pokrywa się pyłem kosmicznym i stąd powstały mniejsze lądy, większe kontynenty... Już sama ich forma wyraźnie wskazuje..."

Nasz glob się poprostu zakurzył, jak cylinder starego eleganta, i dlatego mamy Afrykę, Azję, mamy grunt pod nogami. Gdyby we wszechświecie nie było kurzu, to Kolumb nie znalazłby Ameryki, tylko czyste, świecące, glansowane miejsce...

Jakiś starszy, melancholijny, smutny, a nawet ponury jegomość budzi mnie któregoś dnia z drzemki poobiedniej. Patrzy na mnie złem okiem zpodełba, wyjmuje powoli z tylnej kieszeni stary, zmięty, pożółkły rękopis, kładzie go na biurku.

— Co to jest?

— Wszystko — mówi głosem gburowatym. — Rozwiązanie wszystkich zagadnień, powszechny dobrobyt, pokój na ziemi.

— Czy pan to już pokazywał fachowcom, filozofom?

— Niema fachowców. A zresztą — czy to oni dopuszczą do swego grona człowieka nieznanego? Trzeba się reklamować. Już to robię. Czytał pan o mnie w gazetach?

— Nie.

— To ja pokrajałem ten obraz w „Zachęcie". Mam jeszcze inne pomysły...

Dziwne! W czasopismach technicznych amerykańskich znajduję nieraz wywiady ze szczęściarzami, z tymi, którym się udało... Jeden z nich przewlókł sznurek przez torebkę papierową, stworzył rodzaj walizki ręcznej i zarobił na tem setki tysięcy. Inny obmyślił roletę i dziś ma miljony. Jeszcze inny dostał odrazu dwa miljony dolarów za automat fotograficzny.

A my gasimy wulkany i nic!

W technice, jak w sztuce, trzeba widocznie mieć pewien talizman.

Talent.

Postęp i wygoda



W Berlinie zainstalowany został na Placu Poczdamskim, koło wejścia do podziemnej kolejki olbrzymi postument kamienny z wygrawerowanym planem miasta. (Atlantic).



Częste kradzieże rowerów, pozostawionych na ulicy oraz wstęp wzbroniony dla piesków do niektórych sklepów spowodowały zainstalowanie w Wiedniu na ulicach specjalnych barjerek. Zamknięty na kłódkę rower, lub przywiązany Azorek, daje gwarancję spokojnego załatwienia interesu (Atlantic).



Na ulicach Paryża zainstalowano tablice orjentacyjne dla szoferów, wskazujące kierunek jazdy. Druga strona tablic, która była do tej pory pustą, została wyzyskana przez jednego pomysłowego krawca, który tam umieścił kalendarz, codziennie zdzierany. (Wide World).

15 minut podróży okrężnej czeku po gmachu P.K.O.



1) Mały różowy druczek... Sam przez się—nic. Ale wypełniony, z podpisem wystawcy — to dyspozycja wypłaty wymienionej na nim sumy. To gotówka!



4) Czek nie ma czasu. Pędzi dalej... Automatycznie! Pneumatycznie! 500 metrów na sekundę! W naboju poczty pneumatycznej nasz czek — pasażer, za chwilę...



6) Stop! Stacja: Biuro Kontowań! Wysiadać! Czek — już leży na stole przed okiem bystrego „celnika". Wzór podpisu, podpis na czeku — identyczne. Sprawdzono; wszystko w porządku, kontrabandy niema. Gotowe! Jazda dalej! Następny etap — konto właściciela. Pokrycie? Jest! Zmniejszyć je o kwotę czeku! Zapisane! Odjęte! Załatwione! Dalej w drogę!



2) Przy okienku czekowem. Oddajemy nasz czek do wypłaty. Wzamian—numerek. Mamy czekać... Czy długo? Najwyżej kwadrans! Przez te piętnaście minut, czek ma odbyć skomplikowaną podróż po wielkim gmachu PKO i wrócić do rąk naszych, w miłej postaci gotówki.



5) ...wpada na stację węzłową, gdzie zręczne ręce pani—„zawiadowczyni ruchu" jednym chwytem kierują go na właściwy tor, do stacji przeznaczenia... Cała podróż wraz z „przesiadaniem" trwa coś około 7-miu sekund.



7) Chwytają go nowe ręce. Nie umknie bez śladu. Zapisują pasażera na wyciągu kontowym: twój pan, czeku, będzie wiedział co się z tobą działo. Kilka uderzeń w klawisze mądrej, samoliczącej maszyny i już nasz czek jest utrwalony, jako dobry, solidny czek, jako gotówka. A teraz, dość tej podróży! Już 10 minut upłynęło. Błyskawicznie z powrotem... wracaj, skąd-eś przyszedł... Czekają na ciebie z upragnieniem.



3) (Na fotografji lewej) Podpatrzmy jak to nasz czek wędruje. Oto poszedł on do „prześwietlenia"... Tajemniczy aparat z zielonem światłem, jak detektyw, wykrywa najdrobniejszy fałsz. Nie wolno poprawiać, skrobać, przerabiać czeku no i oczywiście „wyręczać" kogoś w podpisie. Sekunda, badanie skończone, czek bez zarzutu. Już wpisany na listę.



9) Jedna z sal, gdzie szereg doskonałych, precyzyjnych, samoliczących maszyn, szybko, sprawnie i bez pomyłek notuje setki tysięcy wpłat i wypłat dokonanych przez uczestników obrotu czekowego PKO na blankietach nadawczych, we wszystkich urzędach pocztowych na terenie Polski. Tu człowiek panuje nad maszyną, a inteligencja maszyny czuwa nad omylnością człowieka.

8) (Na fotografji prawej) Okienko: „Wypłaty". Nawet nie upłynęło 15 minut... Wywołują numerek... Klijent, oddawca czeku, podchodzi szybkim krokiem... Suma? Tyle a tyle... Proszę przeliczyć... I oto z małej, różowej kartki, „urodziła się" na poczekaniu, w ciągu kwadransa, paczka banknotów. A wszystko dzięki: sprawnej organizacji, zracjonalizowanej i zmechanizowanej pracy. Sprężyste kierownictwo PKO, w trosce o dobro klijentów stale usprawnia precyzyjne i niezawodne działanie wielkiego mechanizmu tej potężnej, cieszącej się powszechnem zaufaniem instytucji finansowej.



Złamana przysięga

przekład Miecz. Szczęsnego.

Na krótko, przed 11-tą ukończył profesor Smith pracę nad artykułem „O gruźlicy kości", napisany dla instytutu anatomji patologicznej i właśnie zamierzał udać się na spoczynek, gdy wpadło mu na myśl jeszcze raz zajrzeć do żony, która tego dnia nie czuła się zupełnie dobrze i, wcześniej niż zwykle, udała się do swego pokoju.

Aby przejść dziesięć kroków korytarza nie trzeba było zapalać światła — wąska smuga blasku, która się przedzierała przez niedomknięte drzwi, wystarczyła, aby oświetlić drogę.

Gdy wszedł do pokoju żony, uderzył go dziwny widok. Pani Erna siedziała wyprostowana na łóżku i wpatrywała się w niego, jak w upiora. Pokojówka, która miała czuwać w nocy przy łóżku swojej pani, również patrzyła na niego szeroko otwartemi, przerażonemi oczami.

— To ty? —spytała pani Erna, drżąc na całem ciele.

— Tak to ja, któżby inny? Co się stało? Co z wami się dzieje?

— Czyś go widział?

— Kogo?

— Przed chwilą właśnie znikł!

— Ależ, proszę cię, któżby tu był? Przecież niema zresztą nikogo więcej w domu.

Pani Erna przywołała męża bliżej do łóżka i szepnęła patrząc ku drzwiom: — Jan...

— Jaki Jan?

— Mój szwagier, Jan!

Profesor roześmiał się gniewnie.

— Czy nie zechciałabyś mi powiedzieć, co to ma wspólnego z tobą — powiedział tonem lekarskiego rozkazu.

— Chciałam właśnie powiedzieć Marji, aby mi dała proszek na sen, gdy spojrzawszy w stronę drzwi ujrzałam nagle, jak się wolno uchyliły... Jan stał na progu, w pantoflach rannych i szlafroku w kratkę, którego nigdy u niego nie widziałam. Wszedł do pokoju, oczu ze mnie nie spuszczał, strasznie dziwne takie oczy, oczy tonącego. Wszedł do pokoju, i usiadł w tym oto fotelu.

— Tam w fotelu? — powtórzył profesor; ruchem niedbałym wziął rękę żony i zbadał puls.

— Pozwól...

— Nie mam gorączki, to był Jan! Marja go także widziała!

Dwa groźne błyski z pod szkieł binokli padają surowo na dziewczynę.

— Potknął się o moje nogi... zajęczała Marja, ogarnięta przerażeniem i schowała się pod kołdrę.

— Proszę więc dalej! — pytał profesor.

— Spytałam więc jej, czy go widzi, lecz zęby tak jej szczękały, że nie mogła mi odpowiedzieć. Po chwili dopiero potwierdziła: — „Widzę pana Jana". Na to Jan wstał pomału z fotelu, przeszedł znów koło mego łóżka, potknął się o nogi Marji i wyszedł przez drzwi. W chwilę potem ty wszedłeś.

— Poczekaj chwilkę — rzekł doktór i wyszedł do przyległego pokoju, zapalił światło, poszedł dalej po całem mieszkaniu, zostawiając za sobą zapalone lampy.

— Niema nikogo naturalnie, oświadczył żonie dokonawszy inspekcji.

— Naturalnie, że niema żywej duszy — posłusznie powtórzyła pani Erna, trzęsąc się nerwowo.

— Więc co ma znaczyć ten cały nonsens?

— Coś się musiało stać... — wyszeptała pani Erna, załamując ręce.

— Napewno coś się stało... Czyby Janowi coś się nie wydarzyło...

— Ach, co też ty mówisz? Temu siłaczowi, temu atlecie? — Prosiłbym Cię bardzo, żebyś przyjęła proszek nasenny. Jutro, gdy wypoczniesz, sama napewno wyśmiejesz zjawę „ducha" Jana.

To powiedziawszy, profesor wyszedł z pokoju, zgasił wszędzie światło, zamknął wszystkie drzwi i położył się do łóżka, myśląc nad tem, jak ten wypadek opisać w artykule o histerji.

Następnego dnia rano przy śniadaniu nadszedł telegram. Pani Erna, która już siedziała przy stole, wydała okrzyk trwogi.

— No, no — rzekł uspakajająco profesor, — to wydawca napewno domaga się gwałtownie moich artykułów!

Z pewnym pośpiechem jednak rozerwał złożony świstek papieru, rzucił okiem, poczem widocznie zmieszany, unikając wzroku pani Erny wyrzekł: — No tak, hm.., a więc Jan umarł wczoraj wieczorem około 11-ej... umarł nagle, na udar serca!

Chwila milczenia. Słychać, jak osa pełza, szeleszcząc skrzydełkami po kiściach winogron, które stoją na stole, zastawionym do śniadania, słychać skrzeczący głos sygnałów automobilowych z ulicy...

Pani Erna głęboko westchnęła: przyjmując spokojnie wiadomość.

Tak, więc stało się i dokonanym jest już faktem teraz to, co ją dręczyło, jako straszliwa groźba... Ulga?... może.. Napewno ulga!

— Nie rozumiem tylko, — rzekł po chwili profesor — dlaczego Jan właśnie... skoro to miało być coś w rodzaju znaku... Proszę, mówię tylko na podstawie twoich opowiadań, nie chciałbym być źle zrozumianym, — uważam to za spotkanie, zupełnie przypadkowe spotkanie twego nerwowego wzruszenia, wywołanego chorobą, z rzeczywistem wydarzeniem. A więc proszę, wziąwszy to pod uwagę, nie rozumiem, dlaczego Jan właśnie tobie doniósł o swojej śmierci? Przy tych naprężonych, ba prawie wrogich stosunkach, które w ostatnich czasach zakradły się między wami... Dlaczego właśnie Jan, mając to na względzie, ciebie wybrał, jako odbiorczynię posłannictwa?

— Nie wiem...

— Niegdyś, dawniej, przed rokiem, nawet bodaj przed pół rokiem, kiedyście byli tak bardzo zaprzyjaźnieni, gdyby wówczas zdarzenie to miało miejsce, wtedy byłoby ono usprawiedliwione. Wtedy bylibyście jednem sercem, jedną duszą. Nawet jeden tydzień nie upłynął bez tego, żeby Jan nie przyjeżdżał do nas na kilka dni.

Jego studja w bibljotece uniwersyteckiej? Nie oddawał się im tak gorliwie, ważniejszem mu się wydawało rozpraszać twoje nudy. Ilekroć pytałem, gdzie jesteście, mówiło się, że „na wystawie, na koncercie, na wycieczce". Nie można sobie było wyobrazić ciebie bez Jana.

— Ach Boże, przecież ty masz tak mało dla mnie czasu — wtrąciła pani Erna.

Zmęczonym ruchem ręki odpędziła muchę, wstała od stołu i za plecami męża zaczęła się krzątać przy kredensie.

Mąż jednak nie tracąc wątku myśli, skoro raz już ją uchwycił, dalej rozważa zagadnienia. Pionowo, jakby blizna wystąpiła mu na czole między brwiami zmarszczka, której tak obawiają się studenci przy egzaminach.

— W takich wypadkach, wieść przychodzi tylko do tych, z którymi umierający był specjalnie uczuciowo związany. I dlatego dziwnem mi się wydaje, że właśnie ty otrzymałaś wiadomość, skoro między wami wszystko się zmieniło do tego stopnia, że byłaś dla niego nawet wrogo usposobiona. Było mi wówczas niezmiernie przykro, ze względu na nasze powinowactwo, że mu się tak sprzeniewierzyłaś i zerwałaś zupełnie z nim kontakt. Od czasu... poczekaj... od czasu jak zaczęłaś brać lekcje muzyki u tego Rudolfiego.

— Tak, bardzo mi było nieprzyjemnie, że od tej pory tak źle traktowałaś biednego Jana. Ostatecznie przecież to był twój szwagier. Co też zaszło między wami, że wcale o nim więcej wiedzieć nie chciałaś?

Pani Erna miała wrażenie, jakby ktoś zarzucał na nią sieć, której oczka coraz bardziej się wkoło niej zacieśniają i paraliżują jej ruchy. Musi się uwolnić i zwraca się twarzą ku mężowi. Ale przed tem pionowo przedzielonem czołem, przed temi oczami, które wydają się z niej robić anatomiczny preparat, traci odwagę, unika jego wzroku i sięga po cukiernicę.

— Co było między nami? — rzekła, jakby od niechcenia, — cóż mogło być? Nic specjalnego. Był strasznie nudny. Jego zachowanie wkońcu działało mi na nerwy.

— De mortuis aut nihil, aut bene!...

Szyderstwo brzmi wyraźne. Sieć zacieśnia się, hamuje oddech.

— Dziwi mnie, że nie znajdujesz nudnym pana Rudolfiego.

Napewno lepiej jest odpowiedzieć wzruszeniem ramion.

— Będę musiała chyba jutro jechać — rzekła pani Erna, po pewnej chwili milczenia.

— Ty? — zdziwił się profesor w czułej trosce. — Ależ z twoim stanem nerwów nikt by ci na to nie zezwolił. Na pogrzeb, oczywista, ja pojadę sam.

Erna wstrzymała oddech.

— Muszę! Nie wolno mi narażać ciebie na tak silne duchowe wstrząsy. Zostaniesz w domu, nikt ci tego chyba za złe nie weźmie, pojadę sam!

— Tybyś chciał poświęcić czas?...

Niema możności sprzeciwu! Twardo opiera się żelazna wola panicznej trwodze!!

o

Po pogrzebie profesor odprowadził wdowę do domu.

— Skoro przyjechałeś sam — mówi wdowa, zatrzymując się przed drzwiami gabinetu zmarłego, to chciałabym cię prosić, abyś chociaż pobieżnie uporządkował papiery Jana, — nie mam odwagi wejść do tego pokoju, toby mnie złamało doszczętnie.

— Chciałem ci sam to zaproponować. Lecz jeszcze jedno pytanie: czy Jan miał na sobie w godzinę śmierci nowy szlafrok w kratkę i pantofle?

— Ależ tak, naturalnie. Dlaczego pytasz o to?

— Chciałbym Ernie wszystko dokładnie opowiedzieć — odrzekł profesor ze smutkiem.

Biurka zmarłego nikt nie tknął jeszcze. Fotografja Erny stała między zwiędłym bukietem kwiatów a kałamarzem. Z należną powagą zabrał się profesor do otwierania szuflad, jednej za druga i przeglądania ich zawartości. Spodziewał się i był prawie pewny, że natrafi na samolubne, kręcone pismo swojej żony.

Znalazł atoli tylko papiery handlowe, listy przyjaciół, wycinki z gazet, rachunki, małe notesiki z zapiskami wydatków, stosy rękopisów i fragmenty niedokończonego dzieła o literaturze koptyjskiej, — ani jednej karteczki pisanej ręką Erny.

Dziwna rzecz, chyba wszystko zostało umyślnie zniszczone, przecież wiedział że korespondowali ze sobą bardzo żywo.

Profesor wpadł w ściekłość, był pewny, że natrafi na jakiś ślad. Szukał teraz we wszystkich szufladach, głęboko, opukując ścianki. Wszystko naprózno. Począł się gorączkować: kartki rękopisów rozsypały się po ziemi... Ciemno oprawiony kajet wysunął się zpośród nich. Na nim napis „pamiętnik".

Cienkie palce chirurga zwolna otworzyły okładkę. Rozczarowany, spostrzegł, że wszystkie zapisane kartki zostały wydarte z zeszytu, nitki zwisały jeszcze przy grzbiecie. Kilka czystych niezapisanych kartek, i kawałek bibuły. Oto co pozostało!

Nowy kawałek bibuły na której widoczne były kilka odbitych wierszy. Nie zamazane, może ostatnie wiersze zwierzeń...

Profesor podszedł do lustra i podniósł znaleziony kawałek bibuły w górę, tak, że mógł odczytywać tekst.

Trochę zamazany, ale zawsze dosyć wyraźny.

„...ażebym się miał z tem pogodzić, że przez innego zostałem wykreślony z Twego życia. Ale przysięgam Ci, że w chwili mojej śmierci przyjdę do Ciebie, aby Ci przypomnieć, że przysięgłaś mi wieczną miłość...

I przysięgę złamałaś..."

Czy wiecie że...

...Amerykański inżynier Leck, znany z budowy pierwszych łodzi podwodnych dla U. S. A., wynalazł łódź dla ratowania zatopionych statków. Łódź ta jest tak urządzoną, że — leżąc na dnie morza — umożliwia wchodzenie i wychodzenie nurkom, przez co zapewniona jest ciągłość pracy i szybsze wydobycie zatopionego okrętu.

*

...Roczny zbiór pszenicy świata jest równy na obu półkulach. To znaczy, iż sama Ameryka zbiera tyle pszenicy ile Europa, Azja, Afryka i Australja razem wzięte.

*

...W roku 1876 zdołał Bell telefonem swego systemu przekazać poraz pierwszy mowę ludzką. W cztery lata później było już uruchomionych 31 tysięcy telefonów w Stanach Zjednoczonych. Dzisiaj jest ich tam 18.4 miljona, czyli 61% liczby telefonów całego świata.

*

...Ciało człowieka starszego zawiera około 65% wody, jeśli chodzi o ciężar. Mleko 87—90% wody, mięso około 75%, owoce 80%, krew 78 — 83%.

*

...Pierwsze dalekosiężne rozmowy telefoniczne na przestrzeni New York — Chicago (1500 km.) uruchomiono w r. 1892. W roku 1915 prowadzono już rozmowy telefoniczne pomiędzy Bostonem a San Francisko, czyli na przestrzeni ca 6000 km. Dzisiaj dalekosiężna telefonja nie zna granic i praktycznie sięga ona od Sztokholmu do San Francisko t. j. ponad 14000 kilometrów.

Względy techniczne zmusiły nas do przeniesienia artykułu do ilustracji tytułowej p. t. „Kaprysy Mody" ze str. 14-ej na str. 9-tą tego numeru.

Propaganda lotnicza



Dnia 9 czerwca odbył się pokaz modeli lotniczych skonstruowanych przez młodzież szkolną szkół średnich na lotnisku w Mokotowie. Zdjęcie przedstawia młodocianych konstruktorów puszczających swe modele w powierze (Photo Plat)

Wszelkie rodzaje zabawek powietrznych oparte są na podstawach naukowych i przyczyniają się niewątpliwie do budzenia ciekawości młodych umysłów w kierunku wynalazczości. Podobna rozrywka jest znakomitym czynnikiem propagandy, najbardziej skutecznej, gdyż działającej dostępnym sposobem w sferze najmłodszych pokoleń, które zaprawia do praktycznego myślenia.

Pierwszą zabawką powietrzną jest latawiec, którego pochodzenia, jak wielu innych zagadnień naukowych, szukać należy na Wschodzie. Latawiec był istotnie od najdawniejszych czasów ulubioną rozrywką w Chinach i w Japonji, rozrywką, której już wówczas oceniano praktyczne znaczenie. Japończycy nawet musieli stosować w tym kierunku specjalne ustawodawstwo, od chwili, gdy latawiec przysłużył się w zakresie operacyj wojennych przy oblężeniu miast.

W Europie natomiast latawiec był znany dopiero w XVI-ym wieku. Nazywano go wówczas „draco volans" (latający upiór), a ludność miast i wiosek, w których czyniono pierwsze eksperymenty, panicznie bała się tego nowego „zjawiska niebieskiego".

Modelem, który popierano, jako najpraktyczniejszy i najbardziej efektowny, był latawiec z ogonem. Późniejszy typ, o kształtach kubicznych, stosowany w celach naukowych, został stworzony w końcu ubiegłego stulecia w Australji.

Inną zabawką w tej dziedzinie był balonik, który się ukazał w końcu XVIII-go w., współcześnie z Mongolfierami. Oczywista, że balonik ten, podobnie do praktycznie stosowanego prototypu, był oparty na identycznych zasadach budowy. Pierwsze baloniki, nadymane gazem, datujące się z połowy ubiegłego stulecia, zostały stworzone dla celów reklamowych przez wielkie magazyny Louvre'u, w Paryżu.

Współcześnie z pierwszemi aerostatami pojawiły się również zabawki — spadochrony, niezmiernie proste w konstrukcji, gdyż składające się z kawałka papieru, paru sznureczków i korka. Stare kroniki podają, że tania ta i niezmiernie popularna zabawka miała niesłychane powodzenie, przyczyniając się do wzbogacenia jej wynalazcy.

Awjacja, we właściwem tego słowa znaczeniu, weszła na rynek zabawkarski pod nazwą „strofeorów". Zabawka ta nie była zbyt bezpieczną, gdyż pomysł jej polegał na stosowaniu metalowego śmigła do zwyczajnego bąka, poruszanego przy pomocy sznurka.

Pewnem udoskonaleniem w tej dziedzinie był nietoperz papierowy, który się ukazał z okazji Wystawy Międzynarodowej w Paryżu w r. 1867. Zabawka ta, poruszana sprężynką, wracała po planowaniu do miejsca, skąd była puszczona, podobnie do boomerangu, była lekką i estetyczną.

Następny etap w tym kierunku został osiągnięty w postaci prawdziwej minjatury helikopteru, poruszanego przy pomocy gumki. Zabawka ta, budowana z jedwabiu, naciągniętego na kadłub z drewienek, w formie motyla, była niezmiernie wdzięczną. Pionierzy awjacji, bracia Wright, przyznają, iż poraz pierwszy pomyśleli o budowie aparatów lotniczych w latach młodzieńczych, kiedy podarowano im zabawkę — helikopter.

Małe aeroplany zostały wprowadzone do dziedziny zabawkarskiej przed dwudziestu laty, a w obecnej chwili służą dla celów propagandy, zachęcając zastępy młodzieży do budowania modeli własnego pomysłu.

Modelarstwo lotnicze jest usilnie popierane we wszystkich krajach i zajęło równe niemal miejsce z przysposobieniem wojskowem młodzieży. W Niemczech zwłaszcza, zorganizowano szereg towarzystw, które co roku urządzają popularne konkursy.

Aeroplaniki te znakomicie służą do doświadczeń w zakresie poszukiwań typu bezmotorowego aparatu.

Modelarstwo lotnicze kształci szerokie masy młodzieży w kierunku pojmowania doniosłości lotnictwa, przyzwyczaja umysł do traktowania poważnych zagadnień naukowych i winno być popierane jak najgorliwiej.

Hotel Metropolis

Kilkudziesięcio piętrowy kolos, podziurawiony jaki sito otworami okien, ciemnemi we dnie, mrugającemi setkami świateł, niby ślepiami, w nocy. Wżarł się głęboko w ziemię, kryjąc w swych ciemnych głębiach duszę, ożywiającą tę zimną masę żelaza i betonu. Z olbrzymich, sklepionych podziemi, zapełnionych cicho i bez przerwy pracującemi maszynami, pompami, zbiornikami płynie energja, pulsująca nieustannie w arterjach rur i splotach przewodników.

Tłum niestrudzonych pigmejów, napół nagich, uznojonych potem, krząta się żwawo dokoła potworów-maszyn, potworów-basenów, potworów-elektromagnesów, bacząc pilnie by natężenie energji nie zmalało, by nasycić wszystkich i wszystko, aż po wierzchołek najwyższego piętra.

Każdemu naciśnięciu guzika, każdemu przekręceniu kurka sprawnie odpowiada maszyna, ukryta w głębi, czuła na wszelkie dotknięcia, nieczuła na regulowane przez siebie życie...

* * *

Wytworny hall hotelowy. Kilkanaście marmurowych filarów podpiera rzeźbione, gotyckie sklepienie na wysokości drugiego piętra. Barwna mozajka posadzki, przebłyskuje gdzieniegdzie z pod rozpostartych ciężkich, puszystych dywanów. Wygodne, klubowe fotele wabią strudzonego przybysza swą przytulną, obszerną głębią. Pająki, usiane gwiazdami świateł jarzą się wysoko, rzucając wokoło miłą, matową jasność. W głębi, obok klombu wysokich, doniczkowych palm, wpośród których szemrze cicho wodotrysk sadzawki, umieszczone jest serce hotelu. Portjernia.

Serce to pracujące równomiernie, nieznające żadnych przyśpieszeń ani spóźnień, zimne, nieczułe, wszystkowiedzące, o wszystkiem pamiętające. Niby do centrali zbiegają się tu wszystkie nerwy organizmu hotelowego, stąd wychodzą wszystkie zarządzenia i rozkazy.

Za wysokoą dębową ladą, dźwigającą książki, druki, aparaty telefoniczne, na tle szerokiej pokratkowanej i ponumerowanej szafy z wiszącemi kluczami, z posortowaną korespondencją, wyłania się obojętna na wszystko, skrzywiona stereotypowym uśmiechem, wyrażająca gotowość do usług twarz portjera. Twarz starannie wygolona z parą głębokich, bacznych, wprawnie oceniających klijenta, oczu. Od jednego spojrzenia taksują one pozycję, majątek, stosunki ba... nawet zamiary podróżnego. Pod wytwornem, podróżnem ubraniem i eleganckim ulstrem wypatrzą sylwetkę fryzjera, chcącego uchodzić za wielkiego przemysłowca; wyszarzany garnitur nie zakryje przed nimi przedstawiciela zrujnowanego finansowo rodu arystokratycznego. Lokując swych gości w pokojach przydzieli im odpowiadające ich gustom i potrzebom mieszkanie. Młodemu małżeństwu, chcącemu spędzić spokojne sam na sam miodowego miesiąca proponuje pokój w zacisznem skrzydle hotelu. Bankiera i przemysłowca ulokuje niedaleko od windy i parlatozimu umieszczonem na każdym piętrze. Dyplomacie odda apartament ułatwiający odbywanie konferencyj. Turysta otrzyma pokój z widokiem na najładniejszą część panoramy miasta i rzeki. Każdemu dogodzi, każdy będzie z niego zadowolony.

Jednem skinieniem palca kieruje ruchami całej armji boy'ów, opiętych w obcisłą liberję, usianą błyszczącemi metalowemi guzikami, w małych czapeczkach zawadjacko przekrzywionych na bok głowy. Pomocnikiem jego jest detektyw hotelowy, który pozornie zaczytany w gazecie bystro obserwuje przewalający się przed portjernią tłum gości, taksuje ich na oko według paragrafów kodeksu karnego. Nieraz zbliży się do jakiegoś wytwornego młodzieńca, który beztrosko spaceruje po hallu, śląc zabójcze spojrzenia pięknym paniom. Rozmawia z nim krótko, grzecznie lecz stanowczo. Młodzieniec spoczątku udaje zdziwienie, potem oburzenie wreszcie z dumnie wzniesioną głową wynosi się na ulicę. Portjer zauważył tę scenę i wie co ona oznacza. Był to znany pożeracz serc niewieścich i ich klejnotów. Snać detektyw ostrzegł go, że go poznał i że będzie czuwał nad jego poruszeniami.

Obok portjerni troje oszklonych drzwi prowadzi do wind, które kierowane wprawną ręką lifboy'ów rozwożą podróżnych do mieszkań.

Szerokie widne korytarze na każdem piętrze, z biegnącemi w dal po posadzce wstęgami chodników. Po obu stronach rzędy drzwi z małemi metalowemi numerkami, prowadzącemi do pokojów. Każdego nowoprzybyłego podróżnego oczekuje przy drzwiach windy lokaj, wskazujący drogę do chwilowego mieszkania. Otwiera drzwi do pokoju umeblowanego banalnie, według stałego szablonu hotelowego. Szerokie łóżko, z dwiema wązkiemi poduszkami i nawpół odsłoniętą kołdrą. Nocny stolik z lampką, szafa z lustrem, składane krzesło na walizki, kanapka, dwa lub trzy krzesła, stolik, biureczko z kałamarzem i kilkoma arkusikami papieru hotelowego... ot i wszystko. Obok drzwi do łazienki, z lavoir'em i dwoma ręcznikami. Przy łastrze dzwonka objaśnienie ile razy należy dzwonić na kelnera, pokojówkę, lokaja, przepis o zachowaniu się w numerze i cennik.

Po chwili zjawia się pokojówka, młoda, fertyczna, w białym fartuszku i czepeczku, proponując przygotowanie ciepłej kąpieli lub pomoc przy rozpakowaniu waliz i kufrów. Jest to pretekst do przypatrzenia się gościowi, któremu trzeba będzie przez bliżej nieokreślony czas stworzyć złudzenie własnego, wygodnego mieszkania. Poznanie przyzwyczajeń podróżnego, jego nałogów, rozplanowania dnia oraz całego szeregu drobiazgów życiowych jest jednym z obowiązków pokojówki. Jak miłe są widziane pantofle ranne postawione codzień w tem samem miejscu, szklanka wody na stoliczku przy łóżku, pidżama przygotowana do włożenia. Rano o pewnej godzinie dyskretne pukanie do drzwi oznajmia, że śniadanie i woda do golenia czekają na każde zawołanie.

Te drobiazgi, tak nieznaczne, a jednocześnie tak potrzebne nadają życiu pozory wykwintu, wygody i beztroski. Nawet skromny oficjalista zabłąkany przypadkowo, do tego miasta-hotelu zaczyna odczuwać wartość swej persony. Jakby mu jakaś łuska spadła z oczu. Widzi wszystko w jaśniejszych barwach, skrzące się i mieniące nową, dotychczas nie zaobserwowaną tęczą barw. Bezwiednie chodzi z głową podniesioną do góry, pierś podaje do przodu, ruchy nabierają dystynkcji i powagi, a szare codzienne myśli kryją się trwożliwie po kątach.

Bo czyż można myśleć temi samemi kategorjami co zawsze, podczas tego krótkiego przeciągu czasu, kiedy się jest otoczonym ludźmi tak wytwornemi, pięknemi i sympatycznemi.

Naprzykład ten młodzieniec, właściciel dziesiątków garniturów i krawatów, mieszkający na prawo mógłby zwycięsko stanąć o palmę pierszeństwa w elegancji z księciem Walji. Lub owa cudna pani, posiadająca do dyspozycji pokojówkę, lokaja i fryzjera. Mieszka naprzeciwko, drzwi we drzwi. Sypia do południa, a potem w przejrzystej, bogatej toalecie wyjeżdża na spacer olbrzymim Cadillakiem. W głębi korytarza zajmuje coś cztery pokoje gromadka kościstych, wysportowanych Angielek, z wiecznemi kodakami i Baedeckerami w ręku. Przynoszą



one ze sobą zapach egzotycznych podróży, piasków pustyń, śniegów, lodowców i tajemnic dżungli podzwrotnikowych

Na trzeciem piętrze zajmuje wielopokojowy apartament indyjski radża, otoczony całym dworem służby w turbanach i długich jaskrawych chałatach. Wyjeżdża na spacer powozem zaprzężonym w dwa czarno - krucze rumaki. W nogach powozu siedzi zawsze wielki tresowany tygrys, mrużący dzikie, drapieżne ślapia na widok tylu smakowitych kąsków, których nie wolno mu skosztować.

Biedny, oszołomiony urzędniczyna, zaślepiony swem nienaturalnem, chwilowem życiem, nie widzi nędzy kryjącej się pod zwierzchniemi szatami błyskotliwego tłumu. Nie wie, że ów wzór elegancji jest znanym wszechświatowym aferzystą, że piękna sąsiadka, żyje z naciągania naiwnych a bogatych obywateli, że udzielny radża to szpieg międzynarodowy, otaczający się przepychem wschodu tylko dla zamydlenia oczu.

Tajemnice hotelu, które twórczemu pisarzowi romansów kryminalnych, dostarczyłyby nigdy nie wysychającego źródła pomysłów, nie przedostają się do uszu gości. Hotel zawsze będzie dla nich miejscem rozrywki i wykwintnem intermezzo ich codziennego życia.

Służba jest dobrze wytresowana i surowo trzyma się swego regulaminu, który tutaj przytaczamy.

„Nasz hotel w pierwszym rzędzie przeznaczony jest dla wygody naszych gości; bez gości hotelby nie istniał".

„Wobec tego funkcjonarjusze hotelu, w myśl powyższego, winni traktować gości z należną im kurtuazją i uwagą".

„Żaden z funkcjonarjuszów, któremu brak zrozumienia lub taktu w wykonaniu powyższych wskazań, nie może liczyć na dłuższe pozostawanie na stanowisku".

„Nowi klienci są tyleż warci, co dawni; zapamiętaj to sobie: gość dobrze obsłużony wróci ze swoją żoną, rodziną i przyjaciółmi".

„Nie zadzieraj nosa, nie bądź opryskliwy, ani sztywny — gość płaci tobie również dobrze, jak ja. On jest twoim bezpośrednim dobroczyńcą".

„Szybki sąd człowieka bywa często mylny. Widzisz nieraz człowieka, ubranego w zieloną marynarkę, długie buty i czerwony szalik na szyi, a jednak jest to gentleman".

„Bezpretensjonalny człowiek, o łagodnym głosie, może posiadać bogactwa Krezusa".

„Niech każdy gość czuje, że za swoje pieniądze lepiej jest obsłużony, niż w każdym innym hotelu".

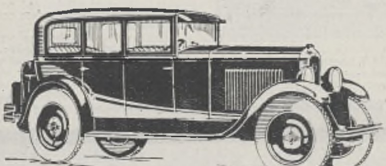
„Służący, który pomaga w wykonaniu powyższych wskazań, sam sobie pomaga".

„Nie mów, że dana potrawa jest dobrze podana, kiedy gość znajduje ją złą. W tym tym wypadku ma on rację. Ma rację również, jeżeli twierdzi, że podałeś mu sos odmienny od obstalowanego, lub, że „piccolo" źle go obsługuje, lub, że obiad obstalował do swego pokoju na tę godzinę, lub, że napój nie był dostatecznie zamrożony. Gość ma zawsze rację". *(z. g.)*

Peugeot

ZNIŻKA CEN

WSZYSTKICH TYPÓW, ZNAJDUJĄCYCH SIĘ NA SKŁADZIE:



TOWAROWE OD ZŁ. 6.700

OSOBOWE OD ZŁ. 7.900

ODWIEDŹCIE NASZYCH LICZNYCH PRZEDSTAWICIELI W CAŁEJ POLSCE!

WARSZAWA — „Dom Samochodowy", Inż. Wł. Sieradzki, Al. Jerozolimskie 35.
POZNAŃ — „Hempowicz - Automobile", Patrona Jackowskiego 49.
KRAKÓW — A. Lenert, Sławkowska 6.
LWÓW — A. Faliszewski, Akademicka 14.
ŁÓDŹ — Auto - Dom Mobile, Piotrkowska 175.
WILNO — Inż. K. Zimmermann, Wileńska 44-a.
LUBLIN — „Laryssa" Sp. Samochodowa, Krak. Przedm. 49.
SOSNOWIEC, KATOWICE — Przewodnik, Al. 3-go Maja 23.
CZĘSTOCHOWA — „Auto-Skład" S. Sejfried, Kościuszki 13.
BIAŁYSTOK — S. J. Wolf, Kościelna 5.
RÓWNO — B. Podhorski, Cicha 4.
GDAŃSK — „Motor", Samtgasse 8.
RADOM — Biuro Przemysłowe W. J. Paszkowski i S-ka, Plac 3-go Maja 1.
BIELSK — J. Macura i J. Miły, Cieszyńska 31, tel. 29-87.

„POLSKI PEUGEOT"

KATALOG (A) FRANCO NA ŻĄDANE MODELE.

BIURO I GARAŻ: Warszawa, Hoża 9, tel. 435-55.

SALON WYSTAWY: Al. Jerozolimskie 35, tel. 168-38.

Jak się myli nasi przodkowie

„...I nie mają oni kąpieli, lecz budują sobie dom z drzewa i szczeliny jego utykają jakowąś materją, co się u nich na drzewach tworzy, podobna zielonawym wodnym porostom, a nazywają ją mchem. Służy im też miasto smoły do ich okrętów. Tworzą potem ogniska z kamieni w jednym z kątów, a na wierzchu otwierają naprzeciw ogniska okno dla przechodu dymu; zamykają je, gdy się ognisko rozpali i zapierają drzwi domu, a są w nim naczynia z wodą — i tą wodą zlewają rozpalone ognisko i podnosi się para; i ma każdy wiązkę suchych liści, którą wzrusza powietrze i ku sobie je ciągnie. I wtedy otwierają się ich pory i wychodzi co zbyteczne i leją się rzeki od nich i na żadnym z nich nie pozostanie ani śladu wysypki, czy pryszcza".

Taki opis naszej starodawnej łaźni przekazał nam arabski kupiec i podróżnik Masudi, który w połowie X stulecia zwiedzał ziemie lechickie. Acz bardzo pierwotnie urządzone, łaźnie te są dostatecznym dowodem, że ówcześni przodkowie nasi dbali o czystość swego ciała. Na kilka wieków przed zabójstwem bizantyjskiego cesarza Konstantyna i przed dużo późniejszem zabójstwem krwawego Marata przez Charlottę Cörday, których śmierć spotkała podczas kąpieli — nasz książę Leszek nago ucieka z łaźni przed nasłanymi na siebie mordercami.

Przyznać jednak trzeba, że do łaźni uczęszczano w wiekach średnich nie tyle z poczucia potrzeby zadośćuczynienia obowiązkom hygjeny, ile dla miłego i beztroskiego spędzenia czasu. Większość łaźni ówczesnych — nietylko w Polsce, ale i w całej Europie — to raczej lokale rozrywkowe, niż kąpieliska. Ciekawą ilustracją sposobu, w jaki spędzali w nich czas nasi przodkowie, jest załączony obok sztych Dürera. Muzyka



Ciekawy drzeworyt A. Dürera (w. XVI), przedstawiający roskosze ówczesnej kąpieli publicznej, urozmaiconej towarzystwem dobrych przyjaciół, tęgiem winem i muzyką. Dopiero te przynęty zdolne były ściągnąć ówczesnych brudasów do łaźni...

i wino uprzyjemniały czas kąpiącym się, którzy ponoć niezawsze na tem poprzestawali... Publiczne zakłady kąpielowe— aż do pierwszych lat dziewiętnastego stulecia — zastępowały naszym przodkom dzisiejsze kawiarnie. Dowodem, że utożsamiano je z zakładami rozrywkowemi, może posłużyć fakt, że snycerz, który nad portalem katedry w Auxerre umieścił syna marnotrawnego trawiącego czas... w łaźni.

Nie można więc dziwić się zbytnio królowi Kazimierzowi Wielkiemu, który w 1336-ym roku wydał prawo przeciw zbytkom kąpielowym, ograniczając między innemi liczbę osób, towarzyszących narzeczonej do łaźni w przededniu ślubu — i że król Zygmunt August strofował swą umiłowaną Barbarę za nadużywanie roskoszy łaziebnych, żądając, aby: *„...jemość tak długo w łaźni się nie myła, gdyż to jejmość po sobie baczy, że to jejmości zdrowiu szkodzi"...*

Zczasem łaźnie i kąpiele publiczne nabrały w całym świecie tak złej sławy, że uczęszczanie do nich uważano powszechnie za rzecz zdrożną. Zachwiały się też pod gromami, miotanemi z jednakowem oburzeniem przez kler katolicki i luterski. Moralność zwyciężyła, lecz kosztem hygjeny — gdyż odzwyczajając się od łaźni, odzwyczajono się jednocześnie ...od wody. W jednym ze swych djalogów miłosnych pisze słynna Małgorzata z Nawarry:

„Spójrz na piękno tych dłoni! Choć nie myłam ich od ośmiu dni, o ileż są piękniejsze od twoich!..." Ta też *„Całować twoją dłoń madame"* nie musiało wówczas należeć do największych przyjemności...

A oto charakterystyczna anektota francuska z epoki największego rozkwitu Odrodzenia:

Pewna młoda szlachcianka, wyszedłszy zamąż za bogatego sukiennika w Kartuzach, staje w zdumieniu przed wielką miską z wodą, przygotowaną w małżeńskiej sypialni. Małżonek zachęca ją gestem do dokonania wieczornych ablucyj. Nie rozumiejąc, czego chcą od niej, za-

myśla się, waha się, klęka wreszcie przed miską, macza w wodzie palce prawej dłoni i... czyni znak Krzyża, pewna, że to woda święcona — gdyż o innym zewnętrznym użytku wody dotychczas nie miała pojęcia...

Co najciekawsze, że największą ilością rekordowych brudasów szczycić się mogą wieki XVII i XVIII. O tem, jak współcześni rozumieli zabiegi hygieniczne, poucza nas popularny podręcznik, wydany w połowie wieku XVII p. t. *„Wizerunek Zdrowia"*. Autor tego „wizerunku" poleca swemu czytelnikowi, aby natychmiast po wstaniu z łóżka czesał i tarł głowę *„zawsze od przodu do tyłu, kark zaś pocierać należy płótnem lub gąbką... i czynić to dopóty, dopóki nie zetrze się wszelkiej nieczystości. Trzeba również wyczyścić uszy i dobrze wytrzeć zęby. Nie wadzi też umyć rąk w wodzie zimnej w czasie letnim, w ciepłej zaś lub ogrzanej w ustach w okresach chłodu. Podobną wodą warto także wypłukać usta, dolewając do niej białego wina. Radzę też wciągnąć tę wodę przez nos, ze dwa razy — oczyści to nos z wszelakich katarów..."* Wszystko tu jest szczegółowo opisane — oprócz procedury... umycia się!

Najwrażliwsi ludzie tej epoki ograniczali się do przecierania twarzy raz na dzień — lub raz na kilka dni — kawałkiem waty, zmoczonym w pachnącej wódce. Modnym było też wówczas coś w rodzaju obecnego kold - creamu. Ale woda była przez wszystkich wyklęta, gdyż, jak twierdzono: *„czyni oblicze wrażliwem na chłód w zimie i skłonnem do opalania się w lecie..."* Nic więc dziwnego, że spokój nocny „Króla - Słońca" często bywał zakłócany przez ataki.. pluskiew, a Mme de Motteville, opisując w swych pamiętnikach królowę Krystynę, mogła wyrazić się o jej rękach, że *„były tak okropnie brudne i plugawe, iż nie mogłam dopatrzyć się w nich nijakiej piękności..."*

Lecz bodaj największy cios zadała hygjenie ówczesnej moda, wprowadzająca wspaniałe „kilkupiętrowe" uczesania, utrudniające a często nawet wprost uniemożliwiające mycie głowy. Współczesnej „garsonce" stanąć mogą wszystkie włosy na krótko ostrzyżonej główce, gdy się dowie, jakie wymyślne ciężary „ozdabiały" czoła ich prababek...

Weźmy naprzykład taki *„pouf au sentiment"*, który pod tą czułą nazwą ukrywał istną wieżę



Tanie kąpiele paryskich „Ineroyables" przy ul. de la Tamierie, w r. 1820 — podług stylu współczesnego.

Babel skomplikowanej nielogiczności przodków naszego mistrza Antoine'a. Oto, jak według kronik wyglądał taki *„pouf"*, piętrzący się nad czołem księżnej de Chartres:

„W głębi tej fryzury widzimy piękną niewiastę, spoczywającą w fotelu i tulącą do piersi niemowlę, co ma oznaczać P. de Valois i jego mamkę. Po stronie prawej dziobie różową wisienkę śliczna papuga, ptak wielce przez księżnę lubiony. Po stronie lewej czernieje wizerunek małego murzynka, również jej ulubieńca. Reszta (!) jest ozdobiona (!!!) pasmami i lokami włosów ks. de Chartres — jej małżonka, ks. de Penthievre — jej ojca, ks. Orleanu — jej teścia i t. p. i t. p.".

Podobne piramidy, wzniesione na rusztowaniach z drutu, poduszeczek i postiche'ów, obficie posypane pudrem i kapiące od wszelakich tłuszczów i olejków, były podtrzymuwane przez długie szpilki. Stawały się one przyczyną wielu chorób skórnych, gdyż nadmiar tłuszczów i pudru sprzyjał wylęganiu się pasorzytów. Swędzenie głowy, stąd wynikłe, wymagało prawie ustawicznego drapania się, przyczem posiłkowano się specjalnemi zgrzebełkami z kości słoniowej, srebra i złota, nierzadko wysadzanemi drogiemi kamieniami i stanowiącemi istne arcydzieła sztuki złotniczej.

Wyobraźmy sobie elegantkę współczesną, zajadającą lody w „Ziemiance", lub popijającą „expresso" w „Italji", która w pewnej chwili wydobywa z swego woreczka takie zgrzebełko i w takt jazz - bandowej muzyczki poczyna skrobać się niem po głowie... Jak jest, tak jest, ale zpewnością lepiej, niż przed półtora wiekiem, nieprawdaż?...

W owych „dobrych starych czasach", gdy przeciętny człowiek decydował się na wzięcie kąpieli — najczęściej dopiero z porady lekarza — zwracał się do bednarza, który mu wypożyczał coś w rodzaju drewnianej wanienki, lub do blacharza, który za podwójną cenę dostarczał mu wanny metalowej mikroskopijnych rozmiarów, kształtu pantofla, a to w celu oszczędzenia... wody, gotowanej w garnkach.

Rozpowszechniony szeroko obyczaj pozwalał gospodarzowi na przyjmowanie gości lub klientów w wannie. De Vermond, wychowawca Marji Antoniny, przyjmował w ten sposób nawet biskupów i ministrów. Podobne sans - gêne Marat przypłacił śmiercią.

Pejot.



Wydawnictwo „7 DNI" ogłaszając w druku poniższą, najnowszą i specjalnie dla nas napisaną powieść utalentowanego pisarza, p. Stanisława Strumph-Wojtkiewicza, pozostawia P. T. Czytelnikom znalezienie do niej najodpowiedniejszego tytułu i w tym celu ogłasza odpowiedni konkurs z nagrodą 1000 zł. W skład sądu konkursowego wchodzą pp.: Juljan Eysmond, Juljusz German, Wacław Grubiński, Marjan Hemar, Tadeusz Kończyc, Jan Piotrowski, oraz autor tej powieści.

STRESZCZENIE POPRZEDNICH ROZDZIAŁÓW

Hala Liwska ukończyła pensję. Wypadkowe spotkanie i początek flirtu z Arturem Zaliwskim, otwierają przed nią nowe horyzonty. Nic romanju nawiązana. Wtem, niespodziewanie, odwiedza się u Hali stary p. Woyno. Tego samego dnia — nowa „bomba" wybucha, bo oto kuzynek Staś, złapawszy Zaliwskiego, na gorącym uczynku pocałowania Hali, zdradza zachowaniem swem, że i on kocha dziewczynę, co jej zresztą nazajutrz wyznaje. Kochają ją... Papcio nalega, by Hala przyjęła propozycję Woyny. Hala coraz częściej przebywa w towarzystwie koleżanki Aliny, śmiałej i nowoczesnej panny. Młode panny odwiedzają dawną koleżankę, Molińską, która prosto z pensji wyszła w świat... w półświatek. Po zerwaniu z Zaliwskim rozpoczyna flirt z nowym, młodym człowiekiem, aż wreszcie, zapoznawszy się z kłopotami finansowemi Zaliwskiego, pożycza od ojca większą kwotę pieniędzy, by móc go uratować. Zaliwski odnosi część pożyczonych pieniędzy. Znów powtarzają się dziwne konkury do Hali, w których jednak mowy niema o... miłości. Wiedziona instynktem Hala postanawia wyjechać i udaje się na wieś, do koleżanki Zośki, gdzie pierwszego już wieczora spotyka Reńskiego. Po kilku dniach pobytu, otrzymuje list z domu, pod wpływem którego postanawia wrócić na jeden dzień do Warszawy. Reński ofiarowuje jej swój samochód, w którym oboje wyruszają w podróż. W Warszawie rodzice robią Hali wymówki z powodu flirtu z Zaliwskim, a papcio dowiedziawszy się o konkurach Reńskiego oświadcza, że nigdy nie zgodzi się na to małżeństwo. Hala postanawia uciec z Czerniczek do domu. Niezatelegrafowawszy po konie Hala zwraca się do znajomego technika z pobliskiej gorzelni o pomoc. Ten korzystając z wieczora i padającego deszczu zamyka Halę na klucz w swoim pokoju i postanawia ją zdobyć. Hali udaje się wydostać z tarapatów. Ucieka pieszo do Czerniczek, gdzie po tych przejściach choruje. Zwierza się Zośce, która ją ostrzega przed Reńskim. Otrzymuje telegram wzywający ją do Warszawy. Na dworcu dowiaduje się, że Zaliwski został aresztowany i że musi go ratować. Natychmiast udaje się do urzędu śledczego, gdzie spotyka się z Zaliwskim. Ten daje jej cały szereg poleceń do regulowania spraw finansowych, które natychmiast załatwia. Spotyka się z Reńskim, z którym jedzie na obiad do Konstancina. Ulegając namowom Reńskiego jedzie z nim do Molińskiej na dancing. Na drugi dzień spotyka się z Zaliwskim wypuszczonym w międzyczasie z więzienia

(21)

Opanowanie i spokój Hali minęły dopiero w domu. — Ależ ty jesteś chora — klasnęła w dłonie pani Liwska, ledwie zobaczywszy córkę.

Mijały dnie monotonnej rekonwalescencji. Hala z początku czekała na telefon, list, wiadomość, pytanie. Postarała się, żeby pan Ala dowiedział się o jej chorobie - prosząc Alinę, żeby powiedziała Molińskiej... Ponieważ świat był cichy i głuchy, więc Hala zrozumiała, przestała rozpaczać i poczęła budować plany desperackie.

XIV.

Zaliwski przyszedł prosić o rękę Hali. Papcio, blady i zdenerwowany, zawołał Halę.

— Halu, córo — odpowiedz panu sama — to twoja sprawa.

Hala jest blada jak płótno i trzyma się poręczy fotela, żeby nie upaść:

— Zgadzam się być jego żoną — mówi bezdźwięcznie.

Obawy? skrupuły? Ach, wszystko jedno.

(Całował mnie i ściskał, uciekałam od niego do Zośki, i przez to poznałam tam pana Alę, i wróciłam, a on tu nabroił, przez niego uciekałam z domu i przez niego było to w Niecnicach i dla niego wracałam, żeby go ratować i posłał mnie sam do Reńskiego i wszystko przez niego wynikło).

Zaliwski całuje jej bezwładną rękę. Papcio jest zaskoczony. Przychodzi pani Liwska.

— No dobrze — ale przecież pan ma te swoje sprawy — przecież pisały gazety.

Papcio zabiera głos.

— Co do tego, to pan Artur wytłomaczył mi wszystko. Drobny błąd młodości. I napewno nie powtórzy się więcej.

— Napewno — zaręczam — przyświadcza Zaliwski.

— Ha — niech będzie wola Boska — ale się dobrze jeszcze namyślcie — mówi dość obojętnie pani Liwska.

Papcio każe przynieść butelkę... reńskiego. Hala z początku blednie, nie rozumiejąc... ale potem pije swój kieliszek reńskiego... na zaręczynach z Zaliwskim. Uśmiecha się blado z tego (i tamtego — i tamtego) zbiegu okoliczności, uśmiecha się poprzez swe cierpienie. Cierpienie jest wyolbrzymione tem, że nie można się nikomu poskarżyć. Cierpi właściwie nie sama Hala, tylko ta druga, nowa, wewnętrzna Hala. Wyraźniej określić to trudno: — Zupełnie, jakbym się rozdwoiła — myśli Hala i nie mogę się już cieszyć — bo jednocześnie szarpie smutek — i nie mogę myśleć i chcieć tak— jednocześnie myśli się i chce inaczej. — Ja już jestem inna — ale tamta Hala została także.

...Pierwszy dziwny rozdźwięk z bezgrzeszną młodością.

Wszyscy piją wino i są coraz weselsi, papcio nawet naprawdę staje się wesoły i przemagając niechęć i obawy, optymistycznie uderza Artura po ramieniu. Papcio jest zawsze dobrej myśli — a teraz ma jeszcze jakieś wesołe ogniki w oczach.

Przez smutek i cierpienia Hala patrzy i widzi wyraźniej i zdumiewa się: — poco oni wszyscy udają? — Zaliwski kocha, ale napewno udaje, że będzie już inny — sam w to nie wierzy. Papcio niby się cieszy, ale nie dlatego, żeby Zaliwskiego chciał mieć za zięcia, tylko — żeby Halę na razie uchronić od wpływów pana Ali. Mama niby się cieszy z zaręczyn, ale daleko więcej z tego, że spadnie z jej głowy troska o Halę i opiekę nad nią. Właśnie pani Liwska mówi:

— No teraz to już na pana — cała odpowiedzialność za Halę. My panu ją powierzamy — niechże pan nie zawiedzie nas — bo to, proszę pana, różni dziś ludzie bywają.

— Nie zawiodę zaufania — mówi Zaliwski i widać, że mówi szczerze.

— A niech pan uważa — oj, bo z tą Halą — to niemało kłopotu. Cośmy się już namartwili przez nią — i przez pana.

— No cicho, matko, cicho — ja sam pomówię z panem Arturem.

Oni rozmawiają dalej — a Hala milczy, jakby się to jej nie tyczyło. Obserwuje tylko uważnie Zaliwskiego, który jest jednak dość miły i przystojny — i ma coraz lepszy uśmiech.

— Mój mąż? — myśli Hala ze zdziwieniem. Ano tak, zdobyłam go sobie — teraz go muszę wychować — jeśli ma być moim mężem — ale zresztą — czy ja mam prawo wymagać szczęścia?

Nastroje kompromisowe ogarniają Halę.

Zaczyna się nowe życie. Przyjeżdżają rodzice Zaliwskiego i składają wizytę. Dziękują gorąco za opiekę nad synem, który, jak to młody — nieco się zaplątał w stolicy. Zaliwski — stary birbant i wyga — teraz ustatkował się na jakiejś popłatnej, kresowej administracji; ona — pełna pretensji — obserwuje Halę przez lorgnon i nie wymawia litery „er" tak, jak zwykłe śmiertelniczki, tylko za pomocą dodatkowego „ha". Papcio emabluje ją i pani Zaliwska mówi mu:

— Ach, pan jest człowiek stahej daty — pan jest dophawdy czahujący.

I nachylając się dodaje:

— A i moja przyszła synowa hównież.

— Ostatecznie — do pewnego stopnia — czem Zaliwscy są gorsi od Liwskich? mówi papcio, gdy zostają już sami. Pociesza się tem najwidoczniej bo przecież jeszcze niedawno marzył o niezwykłej partji dla Hali. Ale trudno — może to tak sądzone?

Papcio mówi do matki wieczorem: — Ano trudno, afiszowała się z nim — powinna właściwie prędko wychodzić zamąż i koniec. Może to i najlepsze — bo jednocześnie jakoś ten Reński zawrócił jej w głowie... Dobrze, że zmądrzała i wybiła go sobie z pamięci. Ostatecznie — do pewnego stopnia — z Zaliwskiego może być porządny człowiek.

— Ona go traktuje teraz bardzo chłodno.

— Tem lepiej! Za dużo sobie pozwalał. Ale bądź spokojna — wszystkie Liwskie są wierne swei pierwszej miłości — i żeby niewiem co się działo— zawsze wrócą do pierwszego ideału. Wiesz przecie, że moja babka...

Hali wpadały w uszy takie i inne fragmenty rozmów. Przyjmowała je pobłażliwie i krytycznie: — Ładniebym wyglądała, gdybym z powodu każdego pocałunku zaraz musiała wychodzić zamąż — ach — ci ludzie „starej daty".

Narzeczeństwo z Zaliwskim tymczasem „rozwijało się" — kwiaty, teatr, czytanie książek, przesyłanie nut i przepisywanie modnych melodyj — czasem skradziony pocałunek, w zasadzie przez Halę akceptowany, odkryła bowiem, że usta Zaliwskiego mają specjalny, miły smak. To wszystko nie obalało jednak faktu, że zaręczyny były niejako aktem zemsty — a zemsta ta była właściwie bardzo zawikłana i kunsztowna i raczej przez Halę wyczuta niż przemyślana. Więc przedewszystkiem mściła się Hala na sobie samej: dobrze mi tak — masz za swoje — zostawaj narzeczoną Zaliwskiego i wychodź zamąż. Po drugie — miał za swoje i Zaliwski, jako przypadkowy czy umyślny pośredni sprawca tylu nieprzyjemnych zdarzeń, przeżytych przez Halę — a ewentualnie i odpowiedzialny za wynikające stąd pewne, niemożliwe do sprawdzenia podejrzenia. Coprawda, podejrzenia te już usypiały po pierwszych, gorączkowych niepokojach, ale charakter ich przyprawiał z początku Halę o rozpacz niemal obłędną. Można sobie było tysiąc razy powiedzieć, że przecież i świat cały i Hala są tacy sami, jak przedtem; można było żyć — jak gdyby nigdy nic — i nawet tańczyć w półpoście i nawet szczerze bawić się na wielkanocnych wizytach. A przecież nie wiele to pomagało na uporczywe myśli: — a jeśli jednak coś naprawdę stało się? — Mój Boże — papcio by tego nie przeżył — czy naprawdę mam być inna, gorsza od innych, dawniejszych Liwskich?

Trzeci pukt tego narzeczeństwa z zemsty polegał na ukrywanej przed sobą samą chęci zaszachowania Reńskiego, który niechybnie o narzeczeństwie się dowiedział, widzieli się bowiem podobno z Zaliwskim. Hala czuła całą swoją bezbronność i całą naiwność i bezradność takiej zemsty na Reńskim, i mocno w głębi ducha bolała, że wymierzony przez nią cios został najwidoczniej przyjęty przez Reńskiego bez większej przykrości. Czasami roiła sobie, że może Reński w gruncie rzeczy rozpacza i będzie ją błagał, żeby się opierała pragnieniom Reńskiego — i tylko z wielkim trudem dałaby swoje przebaczenie. Dalsza przyszłość w takim wypadku ukazywała się w tak ponętnych mirażach, że serduszko Hali poczynało bić mocniej. Ale chwile złudzeń były krótkie. Hala uważała się już teraz za mądrą, („mądrą polkę po szkodzie") — starała się nie igrać z własnym marzeniem. Zdawało się, że uczucie do Reńskiego, tak nagle rozbudzone, równie nagle przygasa i znika, a jeśli i tlą się jeszcze jakie pozostałe iskierki, to są to poprostu miłe (niepodobna temu — pomimo wszystko zaprzeczyć...) wspomnienia.

Bardzo kochając siebie i swoją urodę, a od pewnego czasu i piękne, coraz piękniejsze swoje drugie, nowe — ja — rozwijającą się kobietę, nie mogła Hala zbyt długo pozostawać pod wrażeniem czarnych myśli, które zbiegały się ze wszystkich stron do jej łóżka — pamiętnego ranka w domu Molińskiej. „Ostatecznie do pewnego stopnia" Hala czuła się po staremu panną Liwską, chociażby dla tego samego, że wszyscy naokoł

— od narzeczonego zaczynając, traktowali ją zupełnie tak samo, jak dawniej. Jakiż był zatem powód, żeby się zamartwiać i samej sobie robić przykrości i wymówki i samej od siebie wymagać Bóg wie czego — a może i zupełnie niemożliwego — bo już przepadłego? Jaki cel mógł być w ustawicznem zastanawianiu się nad sprawami, które *nota bene* nie były dostatecznie wyjaśnione? Przypuśćmy zresztą, że istotnie było rzeczywistością to, co wydawało się snem — no więc cóż — Byłaby w tem tylko i jedynie wielka, nikczemna podłość, do której zresztą Reński — choć tak o nim źle mówią, i choć Halę teraz opuścił (pewnie mu nie pozwala rodzina!) — nie byłby zdolny. A jeśli — w takim razie — to nie był Reński? Na tę myśl Hala nie miała innej rady, jak mocne potarcie skroni i czoła i szybkie zajęcie się czemkolwiek — choćby sprawami Artura.

Zajmowanie się Zaliwskim coraz bardziej pochłaniało Halę. Przedewszystkiem zaczęło się ono od względów czysto formalnych. A więc raziły Halę zbyt jaskrawe krawaty, za spiczaste i za modne w kolorze pantofle, nadmiar pierścieni, krzywy uśmiech, nonszalancki ton, „niebotyczne" zakładanie nogi na nogę — i wiele innych właściwości Zaliwskiego. Bardzo szybko i energicznie przerabiając go według swego gustu, Hala wkrótce dopięła swego i na wizytach do ciotek, stryjów i znajomych, które odbywali razem, mogła być zupełnie zadowolona z poprawnego wyglądu i skromnego zachowania się, które teraz zaczęły cechować Zaliwskiego. Między narzeczonymi wytworzyła się nawet z tego powodu pewna wesoła harmonja. Zaliwski, wychodząc z wizyty mówił z ulgą „uff — a to się zmęczyłem" i pytał Halę, czy go aprobuje i tak aprobując się wzajemnie — albo naprzemian — przekornie dyskutując — powracali do domu Liwskich, gdzie zazwyczaj zdawano relację z wizyty, teatru lub spaceru.

Hala zaczynała być dumna z siebie — i teraz już wiedziała dlaczego. Bo przecież obiecała sobie kiedyś, że pomoże Zaliwskiemu wyprostować drogi życiowe — i że da mu cel w życiu. Celem tym, postawionym bardzo stanowczo przed Arturem była zmora ukończenia (koniecznie!) wyższej uczelni. Zaliwski szedł na to — jak na ścięcię. Po paroletniej samodzielnej akcji na wielką, a czasami nabet zbyt wielką skalę, młody człowiek odczuł swój powrót na trzeci, ongiś już pogardzony, semestr, jako bolesne upokorzenie. Byli koledzy pokończyli już, lub zdawali ciekawe ekonomiczne prace dyplomowe, gdy Zaliwski, odprowadzony przez nieubłaganą Halę do samych drzwi, wkraczał z powrotem, niby marnotrawny syn, między świeżo upieczoną rzeszę słuchaczek i słuchaczy. Najboleśniejsze było powitanie, którem spotkał Zaliwskiego stary woźny: — Ot — dzieńdobry panu — a widzi panoczek — trudno — trzeba jeszcze popracować — dobrze panoczek robi, że skończył już z temi interesami. — Nastąpiła później rozmowa z dziekanem i druga rozmowa z rektorem, a ponieważ skutki tych rozmów nie były z początku zbyt pomyślne, więc Hala zebrała odwagę i poszła do samego rektora. Tam bardzo stanowczo i energicznie zaręczyła za Zaliwskiego, usprawiedliwiła go jak mogła, podkreśliła, że stał się tylko lekkomyślny krok i że teraz chodzi o umożliwienie poprawy i o wykazanie najlepszych chęci i o wyzyskanie należyte dużych zdolności i... tak dalej. Magnificencja wysłuchała ze zdziwieniem i niepokojem ognistej przemowy a potem replik panny Liwskiej i ostatecznie — warunkowo — Zaliwski mógł ponownie zostać słuchaczem. Za jednym zamachem zaatakowała Hala dziekana — i Zaliwskiemu zaliczono jakieś dawniejsze seminarja i colloquia.

Po takich sukcesach można było stać się dumną!

Było teraz nowym zwyczajem, że, oczywiście w tajemnicy przed rodzicami, Hala nagle wpadała do Artura, żeby skontrolować, czy uczy się — lub też chodziła do audytorjum, żeby sprawdzić, czy nie opuszcza wykładów. Zaliwski był rad i żartował z tych odwiedzin — a jako nagrodę za swoje nowonabyte cnoty pracowitości i wytrwania, brał coraz gorętsze pocałunki, które coprawda nie licowały z mentorską rolą Hali i odbierały jej szybko powagę i stanowczość. Bywało i tak, że Zaliwski recytował Hali dzieje kryzysów ekonomicznych, albo psychologiczną teorję prawną, a potem żądał i brał za to — i na to nic nie można było poradzić — sute pocałunkowe honorarjum. W pewnej chwili, która wydała się szczególnie niebezpieczną („człowiek jest przecież tylko człowiekiem" — zauważyła), Hala postanowiła już więcej nie kontrolować narzeczonego, szczególnie u niego w mieszkaniu.

Zaliwski zatęsknił rychło do okazji znajdowania się „sam na sam" ze swoją ale zarazem i słodką mentorką. Jego tęsknota wyraziła się w wielu prośbach i projektach, które Hala — dziś już „polka mądra" — zalotnie ale stanowczo odrzucała. Wtedy zjawił się znów na widowni Reński.







War gorącej krwi oblał całą Halę — od kolan do szyi — gdy, wchodząc do modnej cukierni, w której (za pozwoleniem papcia) miała się spotkać z Arturem, zobaczyła ich obu — siedzących razem. Szła do nich, witana z oddali, nie mogąc się już cofnąć — w zupełnem pomieszaniu i niewytłomaczonym lęku — co też znów ma się stać. — Usiadła, odpowiadała na pytania, zamówiła kawę, ale długi czas nic nie widziała i nie mogła zebrać myśli. W końcu podniosła oczy i spojrzała na Reńskiego i znów, jak dawniej, jak zawsze, odrazu zapomniała o wszystkich decyzjach, o wszelkich zarzutach i niepokojach. Jej Zaliwski zaczął być nagle jakimś obcym chłopcem; obcy daleki pan Ala stał się od razu najbardziej swoim. I znów w sposobie patrzenia zjawiła się owa wierność, i znów główka odchyliła się i przechyliła specjalnie dla pana Ali, i znów, patrząc na piękną męską rękę, bawiącą się papierosem, Hala zapragnęła pocałować ją — choćby tu — przy wszystkich — w kawiarni.

— Czyż naprawdę ma być już tak jak on chce?

Pan Ala jednak sam nie pragnął niczego, ale natomiast aprobował projekt Zaliwskiego, który chciał, żeby pojechali we trójkę — samochodem Reńskiego — na dłuższą wycieczkę — gdziekolwiek. Reński żartował, że chcą go zrobić przyzwoitką, że on się na to nie zgadza — chyba pod warunkiem, że Hala przebaczy mu z góry, jeśli zostawi ich samych — bo mówił: „nie znoszę widoku zakochanych". Było w tem trochę obojętności, trochę lekkiego uśmiechu, trochę wyrzutu dla Hali, że tak prędko zakochała się w kim innym; było też sporo smętku, że się jest „samym i opuszczonym" i że się może być tylko świadkiem — cudzego szczęścia.

Hala była zdezorjentowana i zaskoczona i zakochana po dawnemu w panu Ali i jeszcze pełna zastrzeżeń — dość że projekt został uchwalony i wykonany już nazajutrz, zanim Hala zdążyła się opamiętać. Reński prowadził maszynę, ciągle przypominając narzeczoym, że ma przed sobą lusterko, w którem widzi wszystko — Hala zaś ze wzruszeniem zauważyła, że jadą pamiętnym szlakiem w stronę Niechcic i Czerniczek, przez co zapewne Reński chce przypomnieć Hali wspólnie odbytą podróż.

Wzruszona i nie wiedząca co o tem myśleć bawiła się jednak doskonale — panowie strzelali konceptami na wyścigi — szofer, siedzący przy Reńskim dawał na różne pytania obmyślone specjalnie niemądre odpowiedzi — i dojechano do Niechcic. Tam, krążąc po pustych pokojach wielkiego pałacu, Hala usłyszała warkot odjeżdżającego motoru — a w chwilę potem wszedł Reński sam — bez Zaliwskiego.

— A gdzie Artur — spytała Hala.

— Czy Halineczce tak bardzo zależy na nim? Pojechał z powrotem do Warszawy.

— Jakto? — przestraszyła się Hala.

Okazało się jednak, że Zaliwski pojechał tylko do miasteczka odległego o 50 kilometrów, żeby załatwić jakieś sprawy, a także kupić wina.

— Stary wszystko pozamykał.

Urządzimy tu sobie, Halineczko — wielki bal.

Obejrzeli cały pałac. W pewnej chwili pan Ala nachylił się nad Halą i począł całować, długo, coraz goręcej i mocniej. Potem ukląkł — Hala próbowała wstać.

— Panie Alu — ja proszę pana.

— Cierpiałem strasznie, Halineczko. Kocham cię tak ogromnie — tak strasznie. Pomyśleć tylko — ty i Zaliwski — mój Boże — taki kwiat jak ty — dla niego... Widzisz, on wczoraj prosił mnie o to, żebym tak urządził, żebyście tu zostali sami — prosił Halineczko jednem słowem o taką męską przysługę.

— On! On śmiał.

— Więc Halineczko — narazie my jesteśmy sami — i pragnę, żebyśmy zawsze byli sami — my dwoje — moja droga — droga — ileż o tobie myślałem.

— Więc nie zapomniałeś — i, także kochasz?

— Nazawsze — nazawsze już Halineczko.

Hala omdlewała w objęciach Ali...

Zamknęła oczy. W pałacu było cicho — zupełnie cicho.

W pewnej chwili, ostro i bezwzględnie budzona w swej kobiecości, zaniepokoiła się.

— Jeśli on wróci.

— Nie wróci — na kilka godzin popsuje im się maszyna — kazałem szoferowi — kochasz mnie? mów — czy kochasz.

— Tak — tak.

Hala nie mogła pomyśleć już o niczem — na długie chwile najzupełniej zagarnięta w obce posiadanie...

(d. c. n.)

Rozrywki umysłowe

ZADANIE

Dr. Al. Niemeijer, Wassenaar.
Tijdschrift vanden Nederlandschen Schaakbond.



Mat w 3 posunięciach.

METAMORFOZA

Jak wiadomo należy zmienić po jednej wszystkie litery danego słowa (łyżka) tak, aby przy każdej zmianie powstawało nowe słowo. Np. Taras, Taran, Baran, Baron, Balon i Bilon.

Poniżej podajemy do rozwiązania nową metamorfozę Coturnixa.

P	I	Ł	K	A
Y				T

Nowe słowo utworzone po piątej zmianie zaczyna się na literę Y, kończy zaś na T.

ROZWIĄZANIA z Nr. 19.

Zadanie I.

Średnia szybkość roweru wynosi 12 klm. Zadanie jest maleńkim paradoksem, gdyż w pierwszej chwili większość zgadujących pomyśli o cyfrze $12^1/_2$.

Zadanie II.

Wielu Czytelników przecięło węzeł gordyjski. Wyrwać trzcinę! Oto ujarzmienie jajka Kolumba. Jeden z rozwiązujących proponował nawet nurkowanie... Tymczasem wystarczy przechylić trzcinę do punktu pogrążenia się jej całkowitego. Głębokość rzeki równa się: $a^2—b^2/2b$ a m jest odległością punktu zanurzenia trzciny od poprzedniego punktu trzciny na powierzchni; b — jest to odcinek trzciny, który wystawał.

Zadanie III.

Najprostszy matematycznie przykład rozwiązania: A jedzie połowę drogi, zostawia rower i idzie aż do końca. Przybędą po $32^1/_2$ godzinach. Niektórzy Czytelnicy obawiali się o los roweru. Ale cóż to ma spólnego z matematyką.

NAGRODY

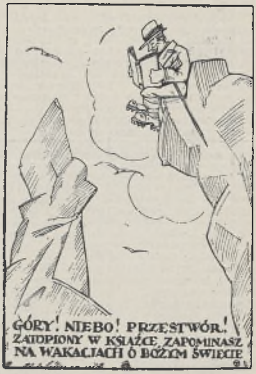
Za rozwiązanie zadań z N-ru 19 otrzymują pp. Zofja Redko, Zenaida Kłoczkowska, Stefanja Wiłłucka z Warszawy, R. Krzewiński z Poznania, ul. Prusa 18, Marjan Konopacki Lwów — Politechnika — Zakład Fizyczny.

Z półek księgarskich

Mieczysław Fularski. „Argentyna, Paragwaj, Boliwja". Nakładem M. Arcta w Warszawie.

Ostatnio wydane pamiętniki z podróży polskiego podróżnika kpt. Mieczysława Fularskiego, wzbogaciły naszą ubogą jeszcze literaturę podróżniczą. Przed oczyma czytelnika przewijają się barwną wstęgą przygody naszego globtrottera, który nietylko gwoli osobistej ciekawości, ale przedewszystkiem celem zbadania warunków dla wychodźtwa polskiego, przedsięwziął tę podróż do dziewiczych a bogatych republik Ameryki Południowej. Stwierdził tam m. in., że możemy być dumni z naszych rodaków, którzy są najlepszym elementem kultywującym dzikie ostępy amerykańskie. Na stronicy 5-tej w 20-tym nr. „7 DNI" podaliśmy ciekawy opis polowania na krokodyle, których skóry, tak cenne u nas dla wyrobów konfekcyjnych, nie przedstawiają w Paragwaju prawie żadnej wartości.

(g.)



Zdjęcia w P. K. O. umieszczone na stronie 12 i 13 tego numeru wykonał fotograf A. Sitkowski.

SIEDEM DNI NASZEGO CZYTELNIKA

KALENDARZYK TYGODNIOWY

21 N. Agrypiny
24 P. Nar. Jana Chrz.
25 W. Prospera
26 Ś. Jan i Pawła
27 C. Władysława
28 P. Leona
29 S. Piotra i Pawła

KALENDARZYK ASTRONOMICZNY

Słońca w.	Słońca z.	Księżyc w.	Księżyc z.
3.16	19.59	22.5	4.2
3.16	19.59	22.40	5.2
3.16	19.59	23.4	6.10
3.17	19.59	23.22	7.24
3.17	19.59	23.37	8.39
3.18	19.59	23.49	9.53
3.18	19.59	0.0	11.9

KALENDARZYK HISTORYCZNY

24.VI 1812 — Przejście Napoleona przez Niemen.

28.VI 1919 — Podpisanie traktatu Wersalskiego.

29.VI 1490 — Władysław Jagiellończyk obejmuje tron węgierski.

KALENDARZYK SPORTOWY

23.VI — Kolarskie torowe mistrzostwa Polski na Dynasach.

23.VI — Zawody lekkoatletyczne klubów żydowskich o puhar „Naszego Przeglądu".

23.VI — Mecz lekkoatletyczny Skra — Sarmata.

23.VI — Mecz hokeja ziemnego w Poznaniu pomiędzy Polską i Czechosłowacją.

24—30.VI — Międzynarodowe zawody hippiczne w Budapeszcie.

29—30.VI — Zawody strzeleckie w Grudziądzu organizowane przez Z. A. Pocisk.

TEATR

LETNI:

W czepku urodzony W. Rapackiego.

POLSKI:

Wielki Kram Bernarda Shaw.

TEATR MAŁY:

„Ładna historja" Caillaveta i de Flersa.

BAGATELA:

„Miss Bagatela" rewja.

NOWA OPERETKA, Karowa 18:

„Lady X".

REDUTA:

W sobotę dn. 22 b. m „Uciekła mi przepióreczka" Żeromskiego.

MORSKIE OKO:

„Warszawa w kwiatach" rewja.

Samoloty komunikacyjne kursują dwa razy dziennie między: Warszawą i Poznaniem, Warszawą i Katowicami, Krakowem i Katowicami, codziennie między: Lwowem i Warszawą, Warszawą i Gdańskiem, Poznaniem i Bydgoszczą, Bydgoszczą i Gdańskiem, Katowicami i Wiedniem.

KINO

Casino:

„Awanturnica z Biarritz" z Magdą Sonją.

Palace:

„Królowa niewolników" z Marją Korda.

Filharmonja:

„Teresa Raquin" z Giną Manes.

Światowid:

„Dlaczego kobieta zdradza" z E. Jannigsem i Conradem Veidtem.

Splendid:

„Studencki Flirt" z Gildą Gray.

Wodewil:

„Mądre żony" z Phillis Haver i Jasqueline Logan.

Quo Vadis:

„Pocałunek słońca" z Konstancją Talmadge.

Colosseum:

„Jego Ekscelencja Posłaniec".

Apollo:

„Golgota uczciwej kobiety".

Stylowy:

„Awantura arabska".

RUCH NA P. W. K.

23 czerwca:

Kongres Nauk Admin. IV dzień. Kongres Zjednoczenia Bractw Kurkowych — II dzień. Zjazd Zw. Młodzieży Wiejskiej 23 — 24.VI osób 300. Tydzień Techniczny — II dzień. Krajowe konkursy hippiczne. Kolarskie mistrzostwa wojewódzkie. Hockey na trawie. Mecz Polska — Czechosłowacja.

24 czerwca:

Kongres Zjednoczenia Bractw Kurkowych — III dzień. Kongres Nauk Admin. — V dzień — ostatni. Tydzień Techniczny — dzień III. Zjazd Młodzieży Wiejskiej — II dzień ostatni. Krajowe konkursy hippiczne.

25 czerwca:

Kongres Zjednoczenia Bractw Kurkowych — IV dzień. Tydzień techniczny — dzień IV Krajowe konkursy hippiczne. Zjazd Mierniczych Polskich. Uniw. sala 22 — d. 25—26.

26 czerwca:

Kongres Zjednoczenia Bractw Kurkowych — V dzień. Tydzień Techniczny — V dzień. Zawody w polo — Hippodrom. Zjazd Mierniczych Polskich, Uniw. sala 12 — dzień II ostatni.

27 czerwca:

Kongres Zjednoczenia Bractw Kurkowych — dz. VI. Tydzień Techniczny — dzień VI. Krajowe konkursy hippiczne. Zawody tennisowe — arena wystawy.

28 czerwca:

Kongres Zjednoczenia Bractw Kurkowych — dz. VII. Tydzień Techniczny dzień VII ostatni.

Triumf kobiety



Pani dr. Marion Phillips została wybrana posłem do parlamentu angielskiego z Labour Party (Wide World)



4 czerwca odbył się wszechświatowy kongres kobiet żydowskich. Prezydjum tego kongresu z siedzącą pośrodku przewodniczącą p. Rebeką Kahut z Ameryki Północnej daje nam świetną próbkę dzisiejszej kobiecości, walczącej o równe prawa z mężczyznami (Wide World)



Klara Zetkin, najzawziętsza bojowniczka bolszewizmu, przywódczyni komunistek rosyjskich (Photo Plat)



Lady Astor, jest przewidującą kobietą i zawczasu agituje za swoją kandydaturą do następnego parlamentu angielskiego na pohybel Labour Party (Wide World)



Ostatnio odbył się w Wiedniu wiec 30.000 kobiet, radzących o najżywotniejszych kwestjach socjalnych. P. Gabriela Proft wygłasza przemówienie stojąc przed głośnikiem. (Atlantic)

„7 DNI" wychodzi co czwartek w Warszawie — Krakowie — Poznaniu — Lwowie i Wilnie

Prenumerata kwartalna: 6.50 złotych, półroczna 12.50 złotych wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałka Focha 2. Tel. 525-85 i 72-85. Konto P. K. O. 19.447. Przedstawicielstwo na Francję: L. Sladowski, 98 Bd Blanqui, Paris, XIII.

Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.

Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1200, ½ strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów. 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy.

Redaktor naczelny: JAN PIOTROWSKI Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN Wydawca: BOLESŁAW KARNISZYN i S-ka Sp. z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 172-22 i 117-98.